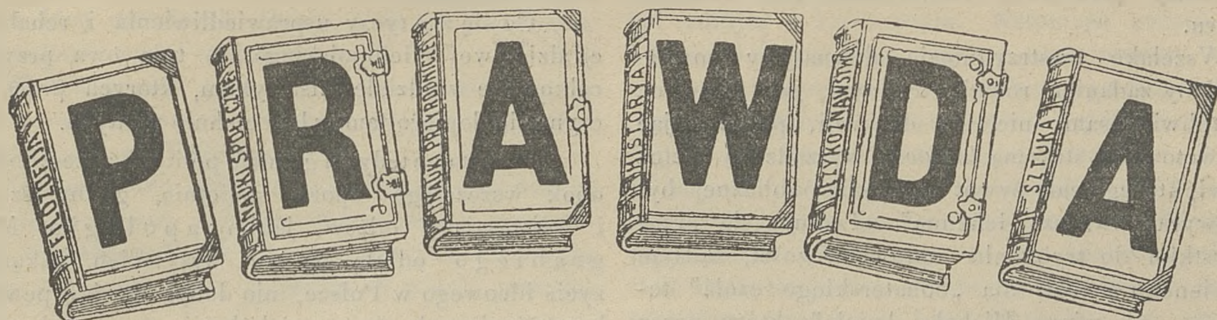
Nr 47 (1609). Warszawa, 25 listopada 1911 r. **Rok XXXI**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

1861 — 1911.

Nie głównym wejściem, ale, jakgdyby, furtką boczną, wstąpiła na arenę publiczną dyskusja na temat jednego z nieprzedawnionych sporów naszej myśli dziejowo-politycznej: na temat w a r t o ś c i n a r o d o w e j dwuletnich niespełna rządów Wielopolskiego, poprzedzających bezpośrednio wybuch powstania w roku 63.

Dyskusja owa zrodziła się raczej z rozmachu djalektyki literackiej, niż z potrzeb bieżących i zagadnień życia, które bynajmniej, pod względem konjunktur politycznych, nie zawiera w sobie elementów, nakazujących opinji rewizję poglądów swych na stanowisko i działalność Margrabiego. A jednak, zaledwo postać Wielopolskiego zamajaczyła na widowni, ukazując się z poza krwawych mgieł przeszłości, odrazu skupiły się na niej spojrzenia wszystkich obozów, odrazu przycichły gwary postronne, i z wszystkich piersi wydarło się jakby głębokie, bolesne westchnienie.

Rzecz dziwna! Wyniosły magnat Chrobrzański, za którym od pół wieku szły złorzeczenia narodu, złorzeczenia i klątwy miljonów, których otamować nie mogły nieśmiałe zachwyty nielicznych jednostek, na domiar, zazwyczaj trawestujących idee i wypadki w myśl interesów własnych, — ów surowy, nieugięty możnowładca, który w ciągu dwu lat odepchnął od siebie szlachtę, duchowieństwo i arystokrację, a nie zdobył ludu i mieszczaństwa, wódz zwyciężony, twórca sprawy przegranej, gromiony przez wszystkich uczestników klęski, ów, wreszcie, skazaniec historji, niemal na równi z Samuelem Zborowskim dźwigający hańbę banicji narodowej, na wieki, zda się, z łona polskości wyobcowany: dziś, po raz pierwszy, przez naród swój powitany został z tą rozumiejącą życzliwością, która, acz nie pomija błędów i przywar osobistych, przecież w rodakach swych widzi przedewszystkim synów jednej wspólnej ojczyzny.

Ogół, który Wielopolskiego sądził i potępiał za czyny, dziś pragnie wnikać w jego pobudki, prześwietlać i odsłaniać jego intencje i zamiary, w przekonaniu, że intencje te były zawsze szlachetne, zamiary zawsze wysokie.

Lecz oto rzecz jeszcze dziwniejsza! Ten sam człowiek, na którego życie podwakroć godzono, czasu jego rządów, jako na życie zdrajcy, który, w pałacu swoim zamknięty, ukrywać się musiał za palisadą rosyjskich bagnetów i szabel przed gniewem i nienawiścią ludu, ten sam człowiek, dzisiaj, nietylko śród realistów, ale i w obozie „wszechpolskim” obwoływany jest za patrona i, jako wzór i prawodawca zarazem, stawiony jednocześnie w ognisku dwu sprzecznych ze sobą ideologji.

Czy zwrot, jaki się obecnie w świadomości zbiorowej zarysował, znamionuje punkt wyjścia dla kierunku solidaryzującego się z działaniem Margrabiego, i kładzie *veto* ostateczne przeciw marzycielstwu romantycznemu w polityce? Czy też jest to poprostu wynik orjentacji historycznej, która zdała sobie sprawę, że Wielopolski osobliwym w pamięci potomnej stał się pokutnikiem, nie tylko za winy własne pokutującym, ale i za grzechy narodu i — za narodu swego nieszczęścia.

Bez wątpienia, chwila obecna czyni nas świadkami energicznej przemiany sądów i kryterjów, stosowanych dotychczas względem imienia Wielopolskiego; możemy dodać nawet, że przemiana owa dokonywa się w kierunku niezaprzeczonej rehabilitacji tego bogatego w rozgłos imienia.

Jakie, atoli, ideały przewodniczą procesowi rehabilitacji? — Postulaty sprawiedliwości abstrakcyjnej, czy też rachuby interesu narodowego? Tę alternatywę, na pozór, zdają się rzucać przed oczy krytyka samowiedzy publicznej rozkołysane fale obecnego sporu.

Wszelako rozstrzygnięcie alternatywy powyższej byłoby zadaniem równie trudnym, jak jałowym. Niewątpliwie, sam inicjator dyskusji, podkreślając „niepowetowaną, straszną *krzywdę*, wyrządzoną Człowiekowi, którego cały żywot na arenie publicznej był już najwyrafinowańszą Gehenną” odwołuje się przedewszystkim do trybunału sprawiedliwości, żądając odeń wieńca i aureoli dla „bohaterskiego czoła” tego męża „na miarę Michała Anioła”, który przez swoich oplwany i w proch powalony został. Z drugiej zaś strony, niewątpliwie, przedstawiciele tych odłamów politycznych, które w systemie Margrabiego doszukują się wskazań dla chwili obecnej, oświetlają przedewszystkim stronę utylitarną podjętych i tak gorliwie rozbieranych zagadnień, licząc, że z doświadczeń Wielopolskiego potrafią dobyć prawdy żywe i zbawcze dla generacji współczesnej.

Któż jednak zdoła między tymi dwoma prądami myśli wyznaczyć linję graniczną? I czy ścisła między nimi granica istnieje?

Nam, wyznajemy to otwarcie, nie chodzi o nią wcale. Powiemy więcej: obie wyżej pomienione formacje myślowe, *ze stanowiska zadań polityki bieżącej*, nie zasługują, zdaniem naszym, na dyskusję.

Między okresem nagłych i ożywionych reform przedpowstaniowych w latach 60—62, a naszą sytuacją teraźniejszą, najskrupulatniejszy drobnowidz polityczny nie wykryłby pierwiastków wspólnych, o charakterze podstawowym i rozstrzygającym; warunki, w których powstała i rozwinąć się mogła działalność Wielopolskiego, warunki natury zarówno międzynarodowej jak wewnętrznej, są wprost przeciwne tym, w jakich my żyjemy dzisiaj. To też jakkolwiek obfite, wymowne i pouczające być mogą dzieje Wielopolskiego, nic dobyć z nich niepodobna na zasiłek i na strawę duchową dla pokolenia obecnego. To co było wówczas, przed laty 50, kwiatem naszej siły, uległo zniszczeniu, a to, co, zaledwie, dzisiaj rozkwita, wtenczas, jeszcze jako ziarno głuche spało pod zamarzłą glebą...

Co się zaś tyczy usprawiedliwienia i rehabilitacji dziejowej Wielopolskiego, to teza owa przypada całkowicie w udziale historykom, których praca zaczyna się dopiero tam, gdzie cichnie polityka.

Pozostając tedy na gruncie polityki, przeszlibyśmy obok wszczętego sporu obojętnie, gdyby szeroki i wstrząsający odzew, jakim apologja Margrabiego odbiła się we wszystkich zakątkach życia ideowego w Polsce, nie dobył na jaw pewnych krystalizujących się w psychologji narodowej prawd i przeświadczeń, którym niestety przybliżony tylko wyraz dać możemy, a które przecie stokroć są ciekawsze, przez swą odruchowość i samorzutność w sile przejawu, niż refleksje ustawiczne na tle rozgraniczeń i ugrupowań przekonaniowych.

* * *

— „Wodzowie przegranych bitew nie przechodzą do potomności!”—miał ozwać się, jak podaje Spasowicz (str. 317), Aleksander Wielopolski do znanego rzeźbiarza Załuskiego, gdy tenże w Dreźnie dopraszał się o pozwolenie wykonania jego popiersia.

Spoglądając dziś, z odległości półwiecza, na pobojowisko, na którym poległ Margrabia, przeprowadzający swe plany wbrew zwartej woli narodu, widzimy, że jednocześnie pobojowisko to stało się polem zguby dla tych, którzy osobę jego obalili. Wślad za jego porażką nastąpiła porażka i rozgrom powstania. Ale gdy powstańców od początku aż do końca ścigały niepowodzenia i klęski, Margrabia miał świetne dni tryumfu i upojenia potęgą. Miał swoje dni zwycięstwa. Dni wielkości. Im czarniej i posępniej mrocznieje w oczach naszych żałoba lat popowstaniowych, im beznadziejniej w niemą i bezradną otchłań grążyły się miesiące, lata i dziesięciolecia naszych wysiłków, będą-

---

ECHA PRAWDY.

Dziwny jubileusz.

Trzysta mija lat od chwili, kiedy zjawił się w Polsce człowiek niepospolity, któremu sądzone było odegrać w dziejach ojczyzny naszej złowrogą, iście demoniczną rolę.

Człowiekiem tym był jezuita, Piotr Skarga, *principus turbator Reipublicae* — bowiem tak przezwali go najlepsi naówczas ludzie w społeczeństwie.

Gienjalny, nieporównany mówca, zacięty zarazem fanatyk i rzymski patrjota, zużył Skarga cały olbrzymi zasób swoich zdolności i wpływów ku chwale i korzyści kościoła, gdy natomiast rozwój świeckiej kultury i myśli narodowej polskiej, tak świetnie się zapowiadający, przepadł doszczętnie w mrokach owej „nocy jezuickiej” z której zbudziła się Polska dopiero pod koniec XVIII-go wieku, by z przerażeniem spostrzec, że budzi się — zapóźno!

I oto w roku przyszłym obchodzony ma być hucznie na ziemiach polskich jubileusz Piotra Skargi — dziwny jubileusz!

Żywot i czyny tego człowieka, tylekroć przez apologetów kościelnych opiewane, czekają jeszcze na historyka, któryby je sumiennie i ściśle odtworzył i ocenił z punktu widzenia polityki polskiej, bez pobożnych fałszerstw i tchórzliwych niedomówień.

Rzecz prosta, że to narodowe, polskie, jedynie słuszne kryterjum opinja nasza zachowawcza starannie omija zdaleka, gdy ze swej strony kler z jezuitami na czele krząta się zawczasu, by wszelki niepożądany zgrzyt rozwagi krytycznej zagłuszyć wrzaskiem swoich trąb, kotłów i litaurów, wdzięczne i rozgłośne budzących echa w akustycznej próżni przekonań naszych „szczytów” społecznych, literackich i naukowych.

Jeden z bardzo miarodajnych w tym względzie organów prasy warszawskiej śpieszy narzucić—w imieniu narodu — całun niepamięci na pewne ujemne cechy jubilata — te właśnie, bez których jego działalność byłaby zbiorem dźwięcznych słów bez treści.

Powiada więc:

„Cześć nasza omija w nim starannie to, co było polityką, jak omija to, co było ślepym fanatyzmem. Pamięć nasza przebaczyła mu oddawna ową „noc jezuicką”, która legła w poprzek zamiarom tolerancyjnym sejmu warszawskiego. Natomiast oczom naszym jawi się postać Skargi jako wielkiego patrjoty, które-

cych wysiłkami rozpaczy, tym wspanialej i górniej w pamięci rozbitków rozrastać się musiały czyny i dzieła tego, który, sam jeden, przed laty z ręki królów i hetmanów dawnych przejąć chciał prawem dziedzictwa ideę odrodzenia Polski, i dla idei tej obcym nawet nakazać umiał cześć i szacunek.

W ten sposób powoli przygotowywała się, na drogach podświadomych, ewolucja pojęć i sądów, dotyczących postaci Wielopolskiego.

Przypominano sobie, że gdy po otwarciu Szkoły Głównej, staraniem jego założonej, zbrakło w uczelni sal wykładowych, Wielopolski zarządził usunięcie wojska z koszar, które natychmiast w aule przemieniono.

A samo powołanie przezeń do życia Szkoły Głównej, faktycznie będącej wskrzeszeniem Uniwersytetu, przed 30 laty zamniętego, rozsianie po całym kraju szkół, ów potężny impuls ruchu umysłowego przez jego władną dłoń zaszczepiony zbutwiałej w klerykaliźmie Polsce, impuls, który przetrwał burzę powstania i rozwinął się w szkole pozytywizmu! Owa ożywiona gorączka reform, pomysłów, początkowań i przedsięwzięć na polu społecznym, gospodarczym i kulturalnym, mających pchnąć zakrzepłą w zastoju machinę narodową na świeże tory rozwoju! Owe mnóstwo projektów, zamierzeń i myśli twórczych, jak stado orłów wylęgających się pod sklepieniem olimpijskiego czoła, zamierzeń i myśli oddanych służbie ojczystej! Czy to wszystko, odbite od ponurego tła ostatnich lat XIX wieku nie wydawało się pokoleniom dorastającym snem szczęśliwym i progiem nieziszczalnej utopji? Na Wielopolskiego poczęto patrzeć poprzez kontrast, jaki wytworzył się między epoką jego a rządami Hurki i Apuchtina. Przypomnijmy sobie srogość i bezwzględność ich regime'u, i zestawmy z nim rządy Margrabiego, kiedy to w ciągu jednego roku trzech rosjan, zajmujących posady gubernatorów „dla dobra służby" ustąpić musiało swego stanowiska polakom, zestawmy ze sobą dwa te obrazy: czyż ostatni nie wygląda na jakąś wizję oszałamiającą, czyż mógł nie dawać przedsmaku zbawienia?

Tak osobistość Wielopolskiego urastała na olbrzyma. Zrazu, póki patrzano nań poprzez interesy i widoki powstania, przeklinano go jako siłę oporu, miażdżącą energję bojową narodu: wówczas Margrabia był zdrajcą i zaprzańcem. Natomiast później, gdy z odległości spojrzano nań poprzez obszary klęski, upokorzenia i niedoli, gdy majestat jego dumy porównano z upadkiem i upośledzeniem współczesnym każdego polaka, w wielkości jego dopatrzono się wielkości narodu, a dumę jego usprawiedliwiano wyniosłością sprawy, którą reprezentował: wtenczas Margrabia przemieniał się w bohatera. To przemienienie nie stało się, rzecz prosta, w jednej jakiejś chwili, ale było procesem, trwającym lata, słabnącym w okresach wzmożonego tętna aspiracji politycznych narodu, a potęgującym się w erach upadku, pogromu i wyczerpania.

Ubiegłe niedawno lata rewolucji, egzaltując niezmiernie energję narodową, przerwały radykalnie idealizację „margrabizmu", ale jej nie unicestwiły doszczętnie. Gdy przyszłość nanowo zasępiła się chmurami, wzburzone fale społeczne legły w łożysku niemocy i zniechęcenia, nad ugorami stłumionego życia zaświeciła dawna, daleka i coraz dalsza, gwiazda pokojowych rządów Wielopolskiego. Wzeszła nad nami znów jako wcielenie naszych tęsknot, „płonących w długie narodowe noce"; gdy słońce zagasa, wzrok instyktownie wypatruje gwiazd; gdy noc zapada coraz głębsza i ciemniejsza, gwiazdy poczynają żarzyć się coraz mocniej. Dziś, gdy mrok reakcji zewsząd nas ogarnia, będziemyż się dziwić, że sympatje dla gwiazdy Wielopolskiego manifestują się wyraźniej niż kiedykolwiek?

Niewątpliwie był Wielopolski niepospolitym, ostatnim, rzec można, w historji Królestwa mężem stanu, ale bohaterem nie był, i nie był genjuszem.

Został przez falę wyniesiony i z falą runął. Został wyniesiony przez falę, ale nią nie kierował. Nie zdawał sobie sprawy, jak przypadkowej zbieżności faktów i wpływów swą tymczasową potęgą zawdzięczał, od ilu krzyżujących się prądów zależał. Ci, któ-

---

go serce ogarnęło przeszłość i przyszłość narodu i — jako wielkiego kaznodziei, który z mowy ojczystej uczynił miecz błyskający".

Kurjer Warszawski — on to bowiem czyni tak subtelne rozgraniczenia — chce wmówić w społeczeństwo, że podziw dla wirtuozowstwa słowa, kult ozdobnej formy i dźwięcznej wymowy — górować powinien nad surowym sądem o działaczu, który wzniesioną już głowę narodu nagiął był do stóp papieskich i w tej pozycji utrzymał lat trzysta!...

Otóż my, polscy wolnomyśliciele i patrjoci, wespół z ludźmi przekonań niezależnych, zastrzec się musimy i z naciskiem oświadczyć, żeśmy w pamięci swej nietylko onej „nocy jezuickiej" nie wymazali, lecz przeciwnie, coraz większą budzi w nas ona grozę, w miarę, jak ogrom jej spustoszeń w Polsce ujawnia się z pod rozmyślnie i sztucznie rzuconej na nią warstwy niepamięci.

Jeśli więc w roku przyszłym święcić ma naród polski jubileusz „wielkiego kaznodziei, który z mowy ojczystej uczynił miecz błyskający" to niechaj się dowie zarazem, że ów „miecz błyskający" był z jednej strony śmiertelnym jadem powleczony i tę stronę właśnie jubilat ku Polsce zwracał.

Uczynny Kopciuszek.

Wzgardzonym i odepchniętym niesłusznie, a nawet pewną niechęcią otoczonym Kopciuszkiem jest u nas Esperanto, ów język międzynarodowy pomocniczy, który z dniem każdym większe święci sukcesy po najdalszych zakątach świata.

Nie można, rzecz prosta, wymagać, byśmy specjalną czuli do niego predylekcję, bo stokroć bardziej leży nam na sercu piecza nad własną mową, niedość znaną, niedość powszechną i niedość w kraju naszym kultywowaną. Samo pojęcie „międzynarodowość" nawet w najlepszym tego słowa znaczeniu, nie może liczyć na poparcie w kraju, przejętym na wskroś swoją bolesną troską narodową.

A jednak, pomimo to wszystko, śmiemy twierdzić, że język Esperanto, na polskim, warszawskim zrodzony gruncie, zasługuje na wdzięczną uwagę, choćby dlatego tylko, że rozpowszechnia po świecie znajomość literatury polskiej w daleko większym stopniu, niż to się mogło zdawać komukolwiek.

Słuszny na to nacisk położył p. Grabowski, prezes warsz. tow. Esperantystów, mówiąc na posiedzeni

rzy bezkrytycznie szerzą kult polityki Margrabiego w chwili obecnej, zdają się po dzień dzisiejszy faktów owych nie pojmować.

Gorący był podówczas grunt w całej Europie pod stopami ludów i monarchów. W tak gorącej tylko atmosferze mogło dokonać się stopienie drobnych państw włoskich w całość jednolitą; tylko gorąca, burzliwa Wiosna Narodów wichrem potęgi napełnić mogła pierś Garibaldi'ego i w pioruny uzbroić jego dłonie; i w tak parnej tylko, w tak niespokojnej porze wybujać mogła niezwykła władza Wielopolskiego. Napoleon, przeprowadzający zasadę narodowości w układzie państwowym Europy, groził lada chwila rozrzuceniem wojennego żarzewia po wszystkich pograniczach ścierających się ze sobą narodów. Przypomnijmy sobie Austrję owoczesną, w zaraniu lat sześćdziesiątych, wstrząśniętą po świeżej klęsce, wyczerpaną przez wojnę z Włochami, gotową do ustępstw na rzecz prowincji, walczących o autonomję lub niepodległość. Dla uzupełnienia widnokręgu politycznego z lat owych, dodajmy wreszcie obraz Rosji, przeżywającej ciężki kryzys wewnętrzny po Kampanji Krymskiej 1856 r., Rosji wstępującej w erę wiekopomnych reform pod rządami Aleksandra II, których łagodność i liberalizm zrazu pod każdym względem przypominał również łagodne i liberalne zaranie rządów Aleksandra I.

A teraz te wszystkie czynniki i wpływy zsumujmy razem, a raczej pomnóżmy je nawzajem przez siebie, gdyż każdy z czynników owych potęgował wszystkie inne, i tak uwielokrotnione i spotęgowane, z kolei, pomnóżmy przez aspiracje, tęsknoty, bóle, niepokoje i pragnienia społeczeństwa polskiego, a otrzymamy groźną, nieobliczalną potęgę nadciągającej nawałnicy, na której tle stanęła jowiszowa postać Wielopolskiego. Z huku zdala idącej burzy wyrosła potęga Margrabiego. Oparty o siłę mocarstwową Rosji, nie dbał o wolę narodu i, w rewolucji widząc jedynego wroga, całą przewagą rządu hamował zapędy burzy narodowej. Wielopolski, na gruncie Królestwa, był spóźnionym odbiciem absolutyzmu oświeconego, którego brak w swoim czasie tak fatalną w dziejach naszych pozostawił lukę. Rządy jego zawierały w sobie wszystkie absolutyzmu oświeconego pierwiastki: zarówno zalety, jak i wady. Cechowała je więc pieczołowitość o oświatę, przemysł, handel i rolnictwo, chęć ukrócenia przywilejów szlachty i emancypowania z pod jej władzy stanu trzeciego; wobec Kościoła stosunek niezależny, męzki i krytyczny; dla wszystkich warstw jednako obowiązujące rygory karności, dyscypliny społecznej, posłuszeństwa dla władzy świeckiej i powagi rządu.

Te wszystkie dla dobra narodu podejmowane zabiegi paraliżował niestety przesąd jeden, politykę absolutyzmu oświeconego uzupełniający: wszystko dla narodu — nic przez naród!

Wielopolski padł w swej walce z narodem. Przerosła go i powaliła burza. Ci, którzy jej siewców oskarżają gorzko i boleśnie, iż wybuchem niewczesnym położyli kres krótkiej epoce zbawiennych reform Margrabiego, pamiętać jednak winni, że ta sama burza, która rządy jego strzaskała w chwili wybuchu, pierwotnie, w stanie utajonym była tą jedyną siłą, która uczyniła dla Wielopolskiego — miejsce w historji.

W poszukiwaniu drogowskazu.

VI.

Środki przygotowawcze.

Pomimo wszystkiego, cośmy powyżej powiedzieli, pomimo okropnych warunków subjektywnych i objektywnych, w których tworzymy nasz program polityczny, do pesymizmu niema bynajmniej powodu.

Z chwilą, kiedy głęboko przenikniemy się myślą, że nasza psychika i nasze nastroje społeczno-polityczne, o ile nie są rezultatem i objawem stanu ogólnego krajów cywilizowanych, są wynikiem warunków zewnętrznych naszego życia, oraz ich następstwa, niższej, w porównaniu z Zachodem, kultury umysłowej i społecznej, nasze zagadnienia polityczne przedstawią się nam w świetle, budzącym wszystkie nadzieje.

Swiadomość, że rozkładowe pierwiastki naszego

---

ostatnim o zdumiewających na tym polu sukcesach naszego piśmiennictwa.

Przekłady z języka polskiego na Esperanto rozchodzą się w olbrzymiej ilości egzemplarzy, w coraz to nowych wydaniach. Niejeden pisarz polski zyskał w ten sposób audytorjum kilkakroć większe, niż to, które mu zapewnia tłocznia swojskiego wydawcy.

Z powieściopisarzy polskich spopularyzowały się w ten sposób nazwiska: Gawalewicza, Gąsiorowskiego, Gomulickiego, Hajoty, Junoszy, Niemojewskiego, Orzeszkowej, Prusa, Przybyszewskiego, Reymonta, Sienkiewicza, Sieroszewskiego, Szymańskiego, Tetmajera, Żeromskiego i Żuławskiego. Mówca wyliczył obok tych nazwisk długi szereg przełożonych na esperanto nowel i większych powieści (jak np. Faraon, Quo Vadis, Marta, Otchłań, Dno nędzy, Legendy i t. d.).

Z literatury dramatycznej świat esperancki posiada już: Krasińskiego „Nieboską Komedję", Słowackiego „Mazepę", Świętochowskiego „Aspazję", Przybyszewskiego „Śnieg", Wyspiańskiego „Protezilasa i Laodamję", oraz kilkanaście komedyjek Bałuckiego, Fredry, Przybylskiego i innych, grywanych po esperancku w różnych krajach.

Z poezji lirycznej i epicznej znane są w świecie esperanckim dość liczne utwory: Asnyka, Konopnickiej, Krasińskiego, Lenartowicza, Malczewskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Ujejskiego, Zaleskiego, Zmichowskiej, a z najnowszych: Jankowskiego, Langego, Słońskiego, Staffa i Tetmajera, jak to zilustrował referent całym szeregiem tytułów (np. ze Słowackiego, oprócz „Mazepy", „Ojciec Zadżumionych" „W Szwajcarji", „Anhelli" „Smutno mi Boże" i t. d.).

Okazuje się w dalszym ciągu, że wobec popytu w świecie esperanckim na rzeczy polskie, niektóre firmy zagraniczne płacą tłómaczom polskim nawet dość wysokie honorarja. Słusznie więc zaznaczył p. Grabowski w swojem przemówieniu, że dla eksportu literatury polskiej za granicę utworzył się dziś znakomity nowy trakt. bez ofiar z naszej strony, bez niepotrzebnego wścibstwa i bez poniżającego narzucania się obcym (*vide* projektowany przekład „Pamiętników Paska" na język francuski, o czym pisano w *Prawdzie* niedawno).

Tak więc Esperanto, skromny i uczynny Kopciuszek wzamian za krzywdzące z naszej strony lekceważenie odpłacił się szlachetnie rozpowszechnieniem arcydzieł sztuki i myśli polskiej po świecie, w roku

życia: pesymizm, negacja, wzajemna nieżyczliwość, i ta zbyt wielka ilość złości i złośliwości, która nagromadziła się w naszej atmosferze społecznej, nie są koniecznością i wyrazem charakteru narodowego, świadomość, że dziś już we wszystkich budzą one niechęć i niezadowolenie, które odzywa się nawet ze źródeł najmniej spodziewanych, pozwala nam oczekiwać pomyślnego zwrotu i w sferze naszej myśli politycznej.

Daleki jestem od naiwnego przypuszczenia, że nawoływania lub morały oddziałają bezpośrednio na nasze życie; że tak ulubiona u nas czynność zwalczania czy pesymizmu, czy negacji, czy złości, przyniosłaby jakąkolwiek korzyść.

Zresztą zamiar taki byłby z mojego punktu widzenia niekonsekwencją.

Niech ludzie sobie zwalczają to lub owo, a jak niektórzy — wszystko, co było, jest i będzie, niech zwalczają się wzajemnie, niech wymyślają dalej społeczeństwu i sobie, są to wszystko rzeczy bez wielkiego znaczenia; jeżeli przynoszą szkodę, to niewielką, a czasami mogą być nawet i pożyteczne czy to, jako krytyka pewnych objawów życia, czy to, jako propaganda tej lub owej idei.

Pamiętajmy tylko, że to nie jest materjał, z którego naród może budować swą przyszłość.

Odrzucanie złych cegieł jest potrzebne, ale jeśli odrzucać będziemy wszystko, to z czegóż budować będziemy?

Trzeba szukać dobrych...

Trzeba znaleźć w życiu i dobro, i piękno, trzeba znaleźć te twórcze pierwiastki, które decydują o istnieniu i losach narodu. Trzeba je znaleźć, i znaleźć je można. Bo nadmierny u nas pesymizm i negacja, są kłamstwem. Są one objawem lenistwa umysłowego i prostactwa, rezultatem niewolniczego poddania naszej psychiki zewnętrznym warunkom życia.

To też nie należy im zbyt wielkiego nadawać znaczenia i zbyt długo zatrzymywać się nad nimi. Trzymajmy się wobec objawów naszego bytu, taktyki, którą ktoś radził zastosować do utworów literatury: nie potępiać autora dopóty, dopóki nie wyczerpiemy wszystkich sposobów pogodzenia go z samym sobą, dopóki nie wynajdziemy w nim konsekwencji, nie zrozumiemy jego istotnej treści.

Nie szukajmy różnic, ale podobieństw, nie tego, co rozłącza zjawiska, ale tego, co je łączy, nie podstaw do walki, ale do współżycia, bo to jest jedyna droga, prowadząca do prawdy. Bo w życiu wszystko jest splecione i ściśle związane: współdziałanie zrobiło ludzkość tym, czym ona jest dzisiaj, a nie walka, która dotychczas jest a może i zawsze będzie, czynnikiem ważnym i koniecznym, ale drugorzędnym, ani nie głównym, ani nie twórczym. Zło istniało i istnieć będzie zawsze. Ale nie zgubiło ono ludzkości i jej nie zgubi, bo na jej straży stoi dobro, potężne i niezwalczone, tak silne, że zło nawet w szaty dobra się przyodziewa, gdy szuka żeru i ofiar. Zbrojni w te zasady i pewni trudności, które przezwyciężyć musi nasza myśl polityczna, pozostając w granicach swego zadania, a więc w granicach zagadnienia, co do warunków tworzenia dyrektywy politycznej, zapytujemy się teraz: co nam czynić należy?

Nasza mysl polityczna przezwyciężyć musi dwojakiego rodzaju trudności: wynikające ze stosunków zewnętrznych i ich skutku, naszej psychiki.

Oczywiście, że dla radykalnego wyleczenia tej ostatniej trzeba zmiany pierwszych; ale ta zmiana znowu nie jest możliwa, dopóki w duszy naszej tkwi tyle obezwładniających pierwiastków. Trzeba zatym oddziaływać i na stosunki zewnętrzne, i na psychikę naszą.

Tutaj mówimy tylko o oddziaływaniu na tę ostatnią.

I nie chodzi tu o propagandę jakiejś zasady, o leczenie jakiegoś cierpienia funkcjonalnego, które usunąć można za pomocą drobnych środków leczniczych.

Zło tkwi daleko głębiej. Niedomaganie staje się już organicznym. W naszych nastrojach, w naszych metodach myślenia, jest tyle goryczy i barw czarnych, że pochłaniają one wszystkie inne.

Starałem się wykazać wyżej, że źródło naszych nastrojów, wytworzonych pierwotnie przez warunki zewnętrzne, tkwi w niższej niż na Zachodzie, kulturze umysłowej i w brakach naszej kultury politycznej, którym postawiono zadania nietylko praktycznie, ale nawet teoretycznie prawie niemożliwa do rozwiązania.

Niższość naszej kultury umysłowej jest następstwem braku u nas nauki, co związane jest znowu ściśle z brakiem uniwersytetu.

Poczucie potrzeby usunięcia tego niedomagania naszego życia znalazło wyraz w hojnych ofiarach, które posypały się na potrzeby Towarzystwa Naukowego. Jak donosiły pisma i Towarzystwo Bibljoteki Publicznej znalazło hojną ofiarodawczynię. Są to jednak wszystko zaledwie krople, wobec oceanu naszych potrzeb.

Podniesienie u nas poziomu umysłowego, a więc

---

zaś przyszłym ściąga zwolenników swych na międzynarodowy Kongres do Krakowa, by w ten sposób uczcić polskie — mimo wszystko — pochodzenie pięknej idei dr-a Zamenhofa, który jest pono prorokiem wszędzie, prócz własnego kraju.

Kraj rozbójników.

Tym krajem są Prusy. Kto wątpi, niech posłucha żałosnej opowieści polskiego wychodźcy w ostatnim numerze amerykańskiej *Straży*.

„21-go września wyruszyłem z Łodzi do Sosnowca, a ztamtąd miałem zamiar przejechać krótszą drogą przez Prusy do Rotterdamu. Lecz czy tak się stało? O nie!

Bo oto, kiedy znalazłem się na pruskiej stronie, zaraz żandarmi zwrócili uwagę, jednakże nic mi nie mówili, aż w Wrocławiu zapytali mię się najpierw o paszport i ile mam pieniędzy, a później, zabrali mię do kancelarji żandarmskiej Tam kazano mi pokazać wszystkie papiery jakie posiadam. Zadość uczyniłem ich żądaniu, ale zatrzymałem kartę okrętową i mówię, że jadę tylko do Berlina na kurację, a jako dowód przedstawiłem im adres mego znajomego doktora z Berlina. Nie zadowolniło ich to, poddano mnie ścisłej rewizji, podczas której żandarmi znaleźli moją kartę okrętową. Zabrali mi takową i kazali iść za sobą. W towarzystwie trzech żandarmów wprowadzono mnie do wagonu, jeden został ze mną, jakby z jakim przestępcą. Kiedy pociąg ruszył, wówczas poznałem, że taką samą drogą jadę, którą przyjechałem z Katowic do Wrocławia. Pytam się żandarma dokąd mnie wiezie, gdyż przypuszczałem, że odstawiają mnie do granicy rosyjskiej. Na pytanie moje, ironicznie odpowiedział: „do Mysłowic, bo tam jest główne biuro skąd można jechać do Ameryki, a nie z Rotterdamu".

W milczeniu dojechaliśmy do Mysłowic. Tu zaraz zjawia się żandarm drugi i tak w towarzystwie prowadzą mnie do jakiegoś więzienia. Kiedy zjawiłem się na sali pełnej obrzydliwego zaduchu, zastałem tam kilkanaście osób siedzących na prostych brudnych ławach. Poznałem, że są to Polacy i chciałem się zatrzymać, aby porozmawiać z nimi, jednak opiekuni kazali iść do drugiego salonu, w którym mieści się biuro emigracyjne.

Tu przedstawili agentowi moją kartę okrętową,

przedewszystkim nauki, powinno, według mnie, stać się jedną z największych trosk naszych. A jak ten poziom jest nizki, świadczy fakt, że w prasie naszej o pracach naukowych, nietylko obcych, ale i swoich, niema już teraz żadnej wzmianki nawet. Prawie wszystkie nasze pisma robią takie wrażenie, jak gdyby na świecie nie było już żadnych badań naukowych, nie wydawano dzieł, nie ogłaszano nowych teorji. A tymczasem świat cały myśli i poznaje. I my mamy wśród siebie ludzi, choć niewielu, którzy biorą udział w ruchu umysłowym świata, ale z nich nie korzystamy. Stali się oni dla ogółu prawie niepotrzebni. Prasa, ten największy jego wychowawca, pracuje nad tym usilnie, aby go odzwyczaić od myślenia wogóle, a głębszego w szczególności. A jeśli prasa nasza czerpie wzory z pism zagranicznych, gdzie także rozwinęły się publikacje najbardziej płytkiej i powierzchownej aktualności, to zapomina ona o tym, że tam obok tych pism, są dziesiątki organów poważnych, że każde pismo, nawet codzienne, uważa sobie za obowiązek, choć kilkadziesiąt wierszy poświęcić informacjom ze świata nauki. A nam dają tylko wyłącznie „aktualność" i to, o ile możności najmniej poważną. Z dzieł naukowych nawet polskich niema prawie nigdzie sprawozdań. Najczęściej niema o nich wzmianki. Oczywiście, że prasa nasza jest ofiarą tego samego nastroju co i ogół; ale jeśli rości ona sobie pretensje do przewodnictwa, powinna je usprawiedliwić, i jeśli nie cała, to przynajmniej część jej poważniejsza powinna zrozumieć swój obowiązek i, nie ograniczając się do schlebiania płytkim wymaganiom publiczności, podsuwać jej i powoli przyzwyczajać ją do strawy umysłowej poważniejszej i szlachetniejszej. Rozumiem, że zależnym to jest od zbyt wielu czynników i w naszym położeniu wszystkich warunków, koniecznych dla podniesienia naszego poziomu umysłowego, stworzyć nie będzie można; tymbardziej więc wyzyskać powinniśmy te posterunki, na których cośkolwiek uczynić możemy. Uwadze mojej nastręczają się w tej chwili następujące drogi, któreby wyzyskać należało:

1) Informowanie publiczności za pośrednictwem prasy o ruchu naukowym we wszystkich dziedzinach wiedzy, a w szczególności w dziedzinie nauk politycznych i społecznych, traktując przytym odpowiednie rubryki, nie przypadkowo i dorywczo, ale systematycznie i stale. Zresztą na pomoc prasie mogłaby przyjść organizacja pod nazwą „Biura informacji naukowych", złożona z ludzi nauki, która przygotowywałaby odpowiedni materjał dla pism codziennych i tygodniowych;

2) Należy popierać jaknajusilniej, szczególniej materjalnie, dwie instytucje, a mianowicie: Towarzystwo Naukowe i Towarzystwo Bibljoteki Publicznej, a prasa winna im więcej poświęcać uwagi, niż się to dzieje dotychczas, aby wśród ogółu spopularyzować ich znaczenie, działalność i potrzeby.

3) Należy popierać jaknajusilniej Towarzystwo Kursów naukowych, aby stało się ono z czasem uniwersytetem wolnym, a w swym wydziale polityczno-społecznym, szkołą odpowiednich nauk na wzór szkół tego rodzaju, istniejących za granicą, a między innymi — w Galicji.

4) Należy nawiązać stosunki z uniwersytetem galicyjskim i uczonymi z Galicji, przez wezwanie ich do współpracownictwa w naszych pismach, informowanie ogółu o ich pracach, zapraszanie ich do wygłaszania odczytów, jednym słowem, należy wyzyskać siły naukowe galicyjskie dla naszych potrzeb.

5) Należy podjąć, a raczej wznowić wydawnictwo dzieł popularno-naukowych, zaniedbane w ostatnich czasach, które jednak przed laty kilkudziesięciu z wielkim rozwijało się pożytkiem. Zapewne znalazłyby się i inne sposoby podniesienia naszego poziomu umysłowego; tych, które przytoczyłem powyżej, nie uważam za jedyne.

I nie o to chodzi mi tymczasem, aby te sposoby wyczerpać, ale raczej, aby uświadomić tę zasadniczą potrzebę naszego życia, której zaspokojenie jest nieodzownym warunkiem możności stworzenia u nas rozumnej dyrektywy politycznej.

W niekulturalnej atmosferze prostactwa, w której jesteśmy pogrążeni, wszystkie nasze przedsięwzięcia i pomysły noszą na sobie piętno nieobmyślanych i nieprzetrawionych wzruszeń i porywów, które też doprowadziły naszą myśl polityczną do tego smutnego stanu, w którym, jak każdy to przyzna, dziś ona się znajduje. Dyrektywa polityczna wymaga współdziałania dzielnych ludzi czynu i głębokich myślicieli, posiadających gruntowną wiedzę i ścisłą metodę naukową, musimy więc umożliwić powstanie i istnienie u nas tego drugiego czynnika myśli politycznej, bez którego dzielni ludzie czynu nie mogą stanąć na wysokości potrzeb XX stulecia.

Jeżeli wszakże nasza ogólna atmosfera duchowa nie obfituje w bogate pierwiastki umysłowe, to już w dziedzinie naszej kultury prawno-politycznej panuje bezwzględna nędza..

---

mówiąc: „złapali ptaszka". Agent ów oglądając kartę oświadcza mi, że pojadę przez Hamburg, a nie Rotterdam, tylko żebym zapłacił mu zaraz. Na to odpowiadam, że nie mogę się zgodzić, gdyż byłoby to dla mnie krzywdą, boć tam zapłaciłem wszystkie pieniądze, na co okazałem kwit pocztowy, jako dowód. Lecz kiedy nie pomaga to, tak zwracam się i mówię: co to jest, aby mi nie pozwolono jechać gdzie ja chcę! — Ja chcę jechać do Rotterdamu przez Afrykę czy też mi nie pozwolicie?—Obraziły go słowa te, bo zaraz kazał mi wyjść z owego biura do ludzi, którzy czekali w drugiej sali.

Wyproszony z biura udałem się do owych ludzi i pytam się, co ich tu sprowadziło? Odpowiadają mi: „to samo co i pana". Po dłuższej rozmowie z nimi okazuje się, że niektórzy już po 7 dni siedzą tutaj, ponieważ wybrali się do Parany, a żandarmi zwrócili ich tu, choć bilety mieli do Hamburga. Z tamtąd mieli jechać darmo jak ich znajomi. Jednak tutaj poznano, że mają po kilkanaście rubli, więc chcą aby im pieniądze oddali, to pojadą, a inaczej to nie — i tak siedzą czekając zmiłowania Boskiego, „Krwawymi łzami płacze niejeden z nas—mówili,—boć nie jesteśmy sami, ale mamy żony i po kilkoro dzieci, które chcą jeść, a my nie możemy im dać, bo nie mamy skąd". —

Z tej opowieści widać jasno, że pruskie władze policyjne zawarły ciche porozumienie z przedsiębiorcami żeglugi transatlantyckiej i korzystając z bezbronności i niezaradności naszych wychodźców — bo jakiż konsulat ujmie się za nimi, jaki poseł zagrozi interpelacją, jaki ambasador — wojną? — okradają ich poprostu z ostatniego grosza, traktując zarazem gorzej, niż plantator z Arkanzas pozwala sobie traktować swoich murzynów czy kulisów chińskich...

Nie mając żadnych prawnych ani państwowych środków ku powściągnięciu tego rodzaju nadużyć, powinniśmy lud nasz ostrzegać usilnie i tłómaczyć mu, że za kordonem pruskim leży nie „państwo bojaźni bożej i dobrych obyczajów" lecz najniebezpieczniejszy bodaj w Europie kraj rozbójników.

Wiedzy w tym kierunku nie posiadamy żadnej, twierdzeń politycznych dowodzi się u nas za pomocą cytat z poetów, zresztą pięknych i ożywczych, mogących stworzyć jakiś nastrój ogólny, nawet pożądany, ale niezdolny do kierownictwa tą codzienną, mozolną robotą społeczną, która nic nie ma wspólnego z poezją, a wymaga odpowiedniego przygotowania, powiedziałbym nawet, rutyny.

Zapewne tworzenie nastrojów, nawet przy pomocy poezji ma wielkie znaczenie w życiu politycznym, nie dadzą nam one jednak tego, czego szukamy, to jest, rozumnej, praktycznej i możliwej do urzeczywistnienia dyrektywy politycznej. Musimy usunąć ujemne wpływy ubiegłego stulecia na nasze wykształcenie, w dziedzinie państwowości i administracji, a jako najbliższe sposoby ku temu, nastręcza mi się:

a) podjęcie wydawnictwa, któreby dało w ręce naszym politykom i publicystom, a także przyszłym działaczom samorządu: teksty prawa z odpowiedniemi wyjaśnieniami. a także odpowiednie podręczniki teoretyczne i praktyczne;

b) stworzenie katedr prawa rosyjskiego, szczególniej państwowego i administracyjnego, na uniwersytetach galicyjskich, a także kilku stypendjów przy tych uniwersytetach dla studentów z Królestwa, Litwy i Rusi, którzy chcieliby się poświęcić pracy teoretycznej nad prawem państwowym i administracyjnym rosyjskim, aby tą drogą wykształcić pewną ilość prawników odpowiednio przygotowanych do pracy administracyjno-państwowej.

Oto są sposoby, które mi się nastręczają, ku podniesieniu naszej kultury umysłowej wogóle, a politycznej w szczególności. Przytaczam je dlatego, aby tymbardziej uwypuklić źródło braków naszej psychiki polityczno- społecznej, które mnie w tej chwili zajmuje, i, wskazać, że jednak położenie nie jest beznadziejnym, i wiele dla tej psychiki uczynić możemy, aby uzdolnić ją o ile możności do rozwiązywania tych olbrzymio trudnych zadań, które ma ona przed sobą.

Pod wpływem nauki, tej wyższej kategorji myślenia, pod gorącymi promieniami ogniska wiedzy, która u nas powstać powinna, myśl i uczucie się podniosą, znikną objawy zaniedbania umysłowego, — pesymizm, nadmiar krytycyzmu i negacji, kłótliwość i złośliwość, te świadectwa ubóstwa umysłowego, które nam pozostawił w spadku wiek ubiegły, zniknie też z polityki poezja i literatura, które zająć powinny właściwe miejsce, a zastąpi je myśl praktyczna, oświecona i poparta wskazaniami umiejętności polityczno-społecznych i znajomością rzeczywistych warunków życia.

* * *

Nie wyczerpałem zapewne ani wszystkich braków i trudności naszej myśli politycznej, ani wszystkich środków ich usunięcia.

Szło mi tymczasem o postawienie zagadnienia i postawiłem je według swego rozumienia, z głębokim przekonaniem, z pewnością co do istnienia samego zagadnienia: trudności rozwiązania naszych zadań polityczno-społecznych, braku przygotowania do tego, a istnienia natomiast w naszej psychice mnóstwa pierwiastków obezwładniających. Myśl ta nie powinna nas nigdy opuszczać, ale stać na straży naszych rozumowań i sporów, jako ciągła pamięć o wspólnej niedoli, o czym zbyt często się u nas zapomina, i jako wskazówka, w jakim kierunku społeczeństwo usiłowania swe skierować powinno, w poszukiwaniu drogowskazu.

Jako czynność przedwstępna, oświecenie naszych szczytów jest według mnie pierwszym warunkiem znalezienia drogi dla społeczeństwa współczesnego.

Jest to wymaganie naszej światłej, wykształconej epoki; uchylając się od uczynienia mu zadość, skazujemy się na tę „dezorjentację polityczną", która charakteryzuje myśl naszą, w szczególności w chwilach przełomowych, kiedy potrzeba dyrektywy najgłośniej domaga się zaspokojenia.

Tutaj zrobić muszę małe zastrzeżenie, zapobiedz pewnej myśli, która zapewnie niejednemu przyjdzie do głowy.

— To prawda, ale to się odnosi w całości do tego z przeciwka, nie do mnie.

Otóż, według mnie, odnosi się to do całego naszego społeczeństwa, i stanowi właśnie tę „wspólną niedolę", którą przedewszystkim w sobie zwalczyć musimy.

A że zwalczyć ją możemy, jak starałem się wykazać, więc i nasze poszukiwanie drogowskazu pomyślne mieć może wyniki.

Trzeba nam tylko światła!

Światło jest konieczne, aby zatamować jedno ze źródeł trudności t. j. źródło tkwiące w nas samych.

A źródło drugie, trudności objektywne, mogą, według mnie, być tylko przedmiotem programu partyjnego.

Czyn musi być z konieczności jednostronnym, aby mógł być czynem. Inaczej, wobec zróżniczkowania społeczeństwa, sam siebie będzie paraliżował. Jednostronność nie wyłącza wszakże jedności tam, gdzie dla niej jest miejsce, nie wyłącza możności stworzenia dyrektywy partyjnej, z całym szacunkiem dla przeciwników, pod hasłem: łączcie się, które przyświecać powinno wszystkim naszym stronnictwom.

Zadaniem ich programów jest właśnie w interesie partyjnym nie utopić interesu narodowego.

Józef Lange.

BADANIA NAUKOWE.

Mniehy i Papieże.

4)

(Ciąg dalszy).

Zgroza opętania przez szatanów była źródłem niewyczerpanych męczarń dla owych biednych dusz średniowiecza, ograniczonych murami teologji, wyzutych z władz rozumu i oddanych na pastwę snów przerażających i upiornych widzeń. Całe pokolenia wówczas pożerała najokropniejsza z chorób, nękających ludzkość: a n e m j a m y ś l i. W człowieka, od chwili jego wyjścia z kołyski, wmawiano nieustannie, iż zły duch czyha nań o każdej godzinie, aby go schwytać w zasadzkę. Przestrzegano go przeciw uwodzicielstwu najrozmaitszych ponęt, którymi kusiciel usiłuje otumanić i zgubić jego duszę: poezja starożytna, wdzięk przyrody, zapędy wiedzy, urok rozkoszy,— oto najzwyklejsze szaty, którymi osłania się pokusa szatańska. Reguły klasztorne po tysiąc razy przypominały braci zakonnej. że wszelka styczność dla niej ze światem zewnętrznym, rozmowa z przyjaciółmi lub dawną jej rodziną, grozi niebezpieczeństwem popadnięcia w sidła djabelskie. To też, ścigani ustawiczną halucynacją piekieł, zakonnicy gotowi byli postrzegać twarze djabłów na każdym miejscu: widywali je na wieżycach świątyń i pod kolumnadą chóru i za ołtarzem i we stalach. Ich odurzonej wyobraźni ukazywały się tłumy szatanów z poza uchylonych drzwi; śmiech szatański skowyczał dla ich uszu w melodji dzwonów, obwieszczających królestwo Chrystusa. Nieszczęsny, napół oszalały mnich czuł się w końcu osaczony przez całe pułki demonów, i nie widział miejsca, w którym znaleźć mógłby przed nimi ocalenie. Szatan umiał wślizgiwać się nawet do nagiej samotnej celi pustelnika, siadał u jego wezgłowia, czając się u jego stóp podczas modlitwy, i zarażając myśli jego podczas snu.

Nieraz, umysł strawiony udręką, chory od widzeń, umęczony trwogą, zdobywał się nagle w chwili rozpaczy i zwątpienia o sobie na morderczą odwagę walki, i wyzywał szatana otwarcie, pragnąc go ujrzeć oko w oko i zmierzyć się z nim resztą gasnącego ducha. I zazwyczaj, szatan nie dawał się długo prosić: ukazuje się i twarzą w twarz rozmawia z ludźmi, zawiera pakty, dyktuje warunki. W takich chwilach dusze wierzących dostępowały śmiertelnej, prawdziwie nieludzkiej rozkoszy, rozkoszy piekielnego upojenia.

Oszołomione nadzwyczajnymi widzeniami, średniowiecze powodowało się wobec świata rzeczywistego osobliwą optyką umysłową. Ciągłe wyczekiwanie cudu, nieznajomość zupełna praw doświadczeniowych, niezdrowa żądza tajemnicy, owa uporczywa wiara, że przedmioty zmysłami postrzegane są jedynie wizerunkiem czegoś lub zapowiedzią, groźbą albo obietnicą, że świat widzialny posiada znaczenie tylko jako obsłona rzeczy niewidzialnych, obsłona nieprzenikalna dla oczu zwykłych, ale przezroczysta dla ludzi świętych i uczonych w piśmie, — wszystkie te wybujałości idealizmu spaczyły podówczas narzędzie poznania ludzkiego, a skutki owego spaczenia wyraziły się w nadużywaniu przez najsubtelniejszych mistrzów scholastyki, poezji oraz sztuki — symbolów.

Na przestrzeni kilku wieków niezmącone utrzymywało się przekonanie, że przyroda tudzież umysł ludzki są to tylko jakieś cyfry hieratyczne, dane nam do odgadnięcia; istoty żywe — to tylko cienie istot właściwych, zjawiska dostrzegalne — to tylko objawy życia i woli utajonych Nie dość na tym. Snując dalej nić symboliki, mniemano, że wyrazy, którymi przedmioty poszczególne oznaczamy, nie odpowiadają żadnej rzeczywistości, że tylko termin oderwany, nie oznaczający żadnego przedmiotu poszczególnego, wyraża rzeczywistość w pełni jej całkowitej. Największym tedy zadaniem ówczesnej nauki stało się tłómaczenie wszelkich rzeczy i wszelkich zarazem myśli z uwagi nie na treść ich własną, ale na treść tego, co się pod nimi ukrywa, a co tylko przeczuwać możemy. Badanie umysłowe szło nie po linji prostej, lecz pięło się w górę po linji spiralnej, pragnąc pochwycić tajemnicę, ukrywającą się za pozorami rzeczy, znienacka i podstępem.

Stąd to płynęły owe najdziwaczniejsze pomysły, stąd przywracanie do życia pojęć już od wieków pogrzebanych, jak np. wskrzeszenie wiary w potęgę liczb mistycznych, zapomnianej od czasów Pytagorasa; stąd również wynikały zboczenia na manowce wszystkich nauk przyrodniczych: alchemji, astrologji, medycyny. Uświęcony przez teologów symbolizm ujarzmił całą umysłowość człowieka; wcielił się w budownictwo i w rzeźbę; odcisnął on głoski swego dziwnego języka na obliczu świątyń, na mozajkach bazylik bizantyjskich, wokół kapiteli romańskich. Był dość płodny nawet, aby stworzyć odrębną, nową gałąź sztuki, sztukę heraldyczną. Symbolizm był tym zdrojem natchnień, pod których wpływem ukształtował się we Francji słynny *Roman de la Rose*; we Włoszech zawdzięcza mu powstanie najbardziej niebotyczny, strzelisty kwiat średniowiecza — *Vita nuova* Dantego, a także i nieśmiertelna *Divina Commedia*. Już w pierwszych tercynach *Piekła* Dante maluje szeroki obraz symboliczny: w głębokim lesie, śród niepewnej ścieżki życia, zostaje on powstrzymany w drodze przez trzy dzikie zwierzęta: lwa, panterę i wilczycę, trzy znaki herbowe Francji, Florencji oraz Rzymu, wyobrażające dumę, zazdrość i chciwość. Symbolizmu również możnaby się doszukać w miłosnych piosenkach prowansalskich, w listach świętej Katarzyny i kazaniach Sawonaroli; trudno też zaprzeczyć, że odbił się on na wierszach Petrarki, psując niejeden jego sonet nadmiarem alegorji.

Glaber nie mógł nie ulec wpływom umysłowości swego czasu: — „Dla nas, chrześcjan — powiada — rzecz każda jest figurą, znakiem lub zapowiedzią". W jego umyśle klasztornym, trawionym od nieustannej gorączki widzeń, historja odbijała się nie jako szereg zdarzeń i stosunków, ale w postaci wizji posępnych, odpowiadających postawie i tokowi zjawisk zewnętrznych. Nieszczęścia i niedole wieku podwajały się w jego duszy udręką wyobraźni i niepokojem serca; stąd też kronika jego w wielu miejscach wydaje się poprostu jakby ewokacją okropnego, przeżywanego na jawie snu.

(d. n.). *St. Romanowski.*

Filozofja momentu.

2)

(Ciąg dalszy).

Nowsze współczesne nam prądy filozoficzne, wnikają już całkiem wyraźnie w stosunek zachodzący między naszą podmiotową bytnością, a poznawczymi postulatami. Mach i empirjo-krytycy uważają filozofję za naukę o metodzie ekonomicznego myślenia. Z drugiej strony pragmatyści James, Jerusalem, Devey i inni stawiają jej czysto praktyczne postulaty; żądają filozofji prowadzącej do rzeczywistego życia. Sądy wedle nich są jedynie poszukiwaniem praktycznych konsekwencji, abstrakcje i absolut sa bezwartościowymi wynalazkami; czyn stanowi grunt wszystkiego. *Teorja to środek do celów realnych.* James w pojęciu utylitarnej wartości niewiele odbiega od Kanta. To co u niego nazywa się wyobrażeniem abstrakcyjnym jest prawie, że równoważne, z mniejszą ilością dogmatyzmu, z ideałem transcedentalnym czystego rozumu Kanta. *Praktyczne* ma więc znaczenie odpowiednika abstrakcyjnych potrzeb.

Zrobiliśmy tą małą wycieczkę w kierunku zagadnienia wartości jedynie w tym celu, by zaraz z miejsca wykazać rozumienie praktycznego postulatu w pragmatyzmie. Pojęcie bowiem wartości jest równoznaczne z praktycznym.

Po wykazaniu różnorodności panującej w określeniach, przystępujemy do rozbioru celów jakie jej w ciągu historycynego rozwojn stawiono. Chcac zrozumieć i zastanowić się nad tym przedmiotem celem użytecznego osądzenia, użyjemy metody analitycznej. Dla lepszej orjentacji układamy tabelę składającą się z dwu części i na jednej układamy chronologiczny spis definicji czysto oderwanych, stwierdzających fakt, — na drugiej zaś definicje wyrażone w formie postulatów. Uczyniwszy to, co zauważymy? Oto w części pierwszej znajdą się imiona bardzo małej liczby myślicieli, w drugiej zaś prawie wszyscy. Filozofowanie bowiem, jako czynność i filozofja jako fakt, wymagały nie tyle racjonalnego, ile realnego uzasadnienia, słowem odpowiednika w życiu. I wskutek tego dzieje filozofji są prócz tworzenia systemów, ciągłą gonitwą za znalezieniem i sformułowaniem tego właśnie odpowiednika. Jedni szukali go poza sobą, tymi byli metafizycy, drudzy w sobie; ci ostatni zaliczają się do subjektywistów i dotrwali do dni dzisiejszych. Wobec tego zrozumiemy, że ci pierwsi z naszej tabeli nie byli zupełnie wolni od teleologji, lecz identyfikowali fakt badania z celem, co było powodem do stworzenia tak zwanej absolutnej wartości poznania, poznania filozoficznego samego dla siebie i t. d. Dla dokładniejszego tego unaocznienia, cośmy wyżej powiedzieli, użyjemy mniej więcej dokładnej metody historycznej.

Arystoteles oddziela jasno rzeczy pomyślane od realnych. Sąd o prawdzie, lub fałszu jest tylko oparty na wyobrażeniach i do nich się odnosi, nigdy do rzeczy realnych. Z tego wniosek, że filozofja ma znaczenie, jako wartościowanie. Jest to jedynie ury-

wek, gdyż wykazanie utylitaryzmu u Arystotelesa wymagałoby specyjalnej rozprawy. Dalej scholastycy przejęci metafizyką religijną łączyli ideę Boga i jej poznanie z filozofją; uważając ją za metodyczny środek, wyznaczali jej też jako metodycznej umiejętności, miejsce w swych podziałach drugorzędne.

Następnie Leibnitz, Kant, Fichte, uważając każdy byt za następstwo czynu, szczególnie ten ostatni, oddawali pierwszeństwo rozumowi praktycznemu nad myśleniem. Współcześni neoidealiści jak Münsterberg w swej filozofji wartości, zacieśniają byt do ostatnich granic jedności duchowej, żądając od filozofji postawienia ogólnego celu i kresu badań, kryterjum wartości w rodzaju racjonalistów Spinozy i Kartezjusza, wymagających koniecznej jedności logicznej. Począwszy od Platona a skończywszy na filozofji wartości Münsterberga (o Jamesie i pragmatyzmie mówiliśmy poprzednio) wije się przez całą filozofję nuta utylitaryzmu.

Staraliśmy się szczególne wykazać to na idealiźmie. Różnica jego cała z innymi kierunkami np. pozytywizmem, polega na przeniesieniu wartości i ich pojmowania. Idealizm logizuje świat, uważając go za system myślowy, za objaw ducha, a system najwyższych idei ma być jedynym kryterjum wartości, tymczasem pozytywizm szuka wartości nie w myśleniu, lecz w odczuwaniu, zwraca się ku nim w bezpośredniości, to znaczy określa warsość myślenia praktycznym, życiowym jego znaczeniem.

I tak James powiada w swym „Pragmatyzmie", że „abstrakcyjne pojęcie może mieć o tyle wartość dla konkretnej rzeczywistości, o ile odpowiada szczególnemu interesowi tego, który je pomyśli". Kryterja więc, jak to widzimy, nie są idee, pojęcia, lecz „bezpośrednia pewność, filozoficzna, uzasadniona rozsądność", a więc sądy opierające się na naszym własnym bezpośrednim uczuciu, następnie na stosunkach między pewnymi z tych poglądów, a innymi prawdami poznawczymi odpowiednio do doświadczenia.

Mimo tego James uznaje instancję „wyobrażeń ogólnych", mówiąc: „Wszystko, co znamy jest dlatego tym „czym" jest, że podporządkowywa się jednemu z abstraktów".

(C. d. n.) *Stanisław Baczyński.*

KRYTYKA.

Nowy dramat Żuławskiego.

„Gród Słońca" — baśń dramatyczna w III aktach.

Wyobraźnia Jerzego Żuławskiego jest lunatyczką. W noce księżycowe opuszcza ciche, uśpione domostwa, pnie się po górach, jak ona w śnie srebrnym zastygłych, wstępuje po schodach przepaścistych marzenia na odludne baszty, czepia się skrzydeł obłoków i chce wraz z nimi płynąć..

Płynąć? — Lecz dokąd? Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Duch Żuławskiego nosi w sobie poczucie niepokoju, ale obce mu jest poczucie kierunku i świadomość celu. Jak tuman nocny, włóczy się on i błąka w pustkowiu gór, ale nie dąży nigdzie i wie, że na wołania jego odpowie mu tylko milczenie. Znikąd, z najwyższych kręgów świata, nie ujrzy swej ziemi obiecanej. Czuje się banitą i tułaczem, wygnanym z niewiadomej ojczyzny. Gna go tęsknota nieustanna, ale tęsknota owa jest skrzydłem anioła, który w jakimś obłędzie szału, zachwytu czy buntu, rażony ślepotą, zapomniał dróg wiodących w Słońce królestwa bożego, i któremu tylko pozostała pamięć kalectwa.

Więc poprzez pamięć i poprzez mękę kalectwa śni o utraconej słonecznej krainie.

Czym jest światło księżyca, w fantastycznych dumach poety, jeśli nie marzeniem oczu niewidomych o chwale słońca? Gdy *szeleści złotem* (jak słyszał Słowacki) idąc po fali jezior Szwajcarskich, czy nie jest zwiastunem rzeczy, o których wie tylko przeczucie, a mówi tylko milczenie, milczenie gór i niebios, tych wiecznych spowiedników duszy?

Otóż, czar nocy miesięcznych i cisza gór stały się tymi czynnikami, pod których wpływem ukształtowały się i rozwinęły zasoby fantazji twórczej Żuławskiego.

Wszystkie postaci jego dramatów i powieści żyją życiem somnambulicznym, żyją i chodzą jak we śnie; gdy mówią, zdają się opowiadać swe widzenia senne; gdy myślą, zdają się raczej przypominać przeszłość, niż przeżywać teraźniejszość. Ludzie Żuławskiego noszą na sobie wszyscy znamię księżycowego pochodzenia. Narodzili się na srebrnym globie. Ich ciała są świetlane i przezroczyste, jak malowidła witrażowe, w których barwa roztapia się w światło, a światło nabiera życia przez barwę. Przybywają na ziemię z przestrzeni międzyplanetarnych, lecz zaledwie zetknąwszy się z powietrzem ziemskim, odwracają głowy ku swoim gwiazdom i chwyceni nagłą tęsknotą, zatrzymują się, jak duchy chwiejną obłąkane rozterką, na wysokości lodowych wierzchołków i śniegiem uwieńczonych szczytów, nie schodząc nigdy na poziomy nizin i wąwozów życia.

Wszechświat jest dla bohaterów Żuławskiego oceanem niezgruntowanym, w którym każdy z nich utopił na wieki nieznaną, bezcenną perłę ukochania. Miłość, sztuka, potęga władzy, prawda, — są to postaci zewnętrzne, albo raczej muszle, w których owa perła upragniona się kryje na dnie odmętu. Poeta wraz z bohaterami swymi, śni by ją odzyskać, raz po raz zapada wgłębie oceanu, ale do samego dna nigdy dotrzeć nie zdoła, cudownej perły ukochania swego nigdy posiąść nie może,

— A wiesz? — zwierza się ojcu swemu w *Grodzie Słońca* młody Bohater:

A wiesz? raz jedyny
plakałem. Owej nie pomnisz godziny...
jeszcze nie miałem na skroniach wawrzynu...
Młode pacholę czytałem Homera,
kiedy to Achil ponad morza brzegiem
skarży się matce — a fale szeregiem
biją o piasek — i toń się otwiera,
i z toni Tetis o śnieżystej stopie
wyszła i gładzi włosy bohatera:
„teknon, ti klajejs?" — czemu płaczesz chłopię!
Śmiej się mój ojcze! biegałem nad morze
i fal wołałem, by mi matkę dały:
jam nie znał matki. Przez żywot swój cały
nie znałem matki...

To ostatnie westchnienie, westchnienie żalu i tęsknoty za matką, której nie znał nigdy syn, przez ojca wyłącznie chowany, wyrywa się z piersi jego, jak zew serca, które nagle w sobie pustkę wielką odkryło, a pada w ocean niewiadomości, jak kotwica rzucona, by zaryć dna tajemnic. Lecz tajemnicze morze jest bezdenne, i w przepaść nieskończoną leci kotwica, a za nią serce, żalu łańcuchem przykute. Człowiek, podejmujący brzemię wielkości, tęsknotą wiedziony, pochyla się nad kolebką swego dzieciństwa i szuka ech zapomnianej piosenki matczynej, bo spostrzegł nagle, że pośród tonów duszy, z których wiąże pieśń swego życia, brak mu tonu jednego...

Więc od rozkwitu swych lat dojrzałych, przez swe czyny męzkie, wraca Bohater ku dniom niemowlęcym, aby ze słów matki i z uśmiechu dziecka od-

gadnąć siłę żywiołów, które pierś jego zaległy, aby pojąć sił swoich naturę i początek.

Tam atoli, gdzie szukał otuchy i umocnienia, czekała nań zguba. Spotkanie z matką stało się dlań przekleństwem i zatratą. Natura żywiołów stoi na straży powszechnej równowagi, i zazdrośnie broni praw chaosu przed organizatorską siłą woli indywidualnej, pragnącej ujarzmić i do swego organizmu wcielić różnorodność bezkresu.

Oto jest tragedja nostalgji, tragedja księżycowej tęsknoty Żuławskiego: gdy jedno ze skrzydeł jej sięga granic Przedbytu, drugie dotyka granic — Śmierci.

Józef Pomirski.

Juljan Wieniawski (Jordan): **Kartki z mego pamiętnika**

Książka pana Wieniawskiego mieści wiele cennych wskaźników do zrozumienia psychologji Polaka z wieku przeszłego. Katolicyzm z polskością zlewają się tu w całkowity pogląd na świat, występują wszędzie razem, popierają się do tego stopnia, iż możnaby sądzić, że niemożliwością były wtedy inne sposoby widzenia rzeczywistości. Zresztą nietylko Polacy byli pod przemożnym urokiem katolicyzmu. Przed 63-ym rokiem idealizowanie jego ducha syntetyzowało się z najbardziej rewolucyjnymi, a nawet anarchistycznymi dążeniami.

U p. Wieniawskiego chrystijanizm nie należy do rzędu sił rewolucyjnych; jestto raczej nasz rodzinny, jeszcze dotychczas trwający, sposób bierności, rodzaj fatalizmu. Ztąd też opisy powstania z 63-ego roku tchną smutnym przesądzeniem całej sprawy już u jej kolebki; tym nie mniej opisy te zaciekawiają, gdyż Jordan był uczestnikiem tej krwawej rozprawy.

Wspomnienia, dotyczące Wielopolskiego, Komisji śledczej, całego patryjarchalnego bytu ginącej szlachetczyzny, rzucają jaskrawy snop światła na gruzy tej porażki, pozytywizm wyjaśnia się w swoich tendencjach, rozumiemy kulturalne dążenia pionierów nauki, budowniczych nowego na świat poglądu. Jedna bowiem mogła się wtedy wysunąć z całej sprawy nauka: należy stworzyć nowy typ Polaka, gdyż przecież przyczyny wszelkich powodzeń czy niepowodzeń leżą w nas samych.

Książka p. Wieniawskiego zamyka w sobie dzieje całej drugiej prawie połowy ubiegłego wieku. Jesteśmy przy założeniu dziś świetnie prosperującego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, dowiadujemy się wiele plotek o aktorach, o życiu warszawskim. Jest bardzo pożytecznie przeczytać te wspomnienia. Przy pamiętniku Szymona Tokarzewskiego są one jakąś jowialną, choć bohaterską chwilami, idylą. I kto chce zrozumieć rok 63 raczej powinien się wczuć w duszę Jordana, niż Tokarzewskich. Tokarzewscy byli wtedy tylko jednostkami. Równoodpowiedniki może istniały w gromadach Grudziądzkich, lecz w kraju przewodził typ wychowany na pamiętnikach Bejły hr. Rzewuskiego, lub też „krajowa Polska" udawała zainteresowanie sztukami pięknymi pod protektoratem sióstr sercanek.

E. C.

NA DOBIE.

Gdy już rakiety poszły w górę..

Bowaryzm... bowaryzm. Trudno się uchronić przed bowaryzmem. Bowaryzm wypływa z niekompletnej znajomości siebie. Ktoś łudzi się, że jest tym, czym nie jest. Jak się ustrzedz od złudzenia? Co jest prawdą, a co nią nie jest? Przez całe życie obok pewnej stanowczej prawdy kroczy przy człowieku złudzenie. Nieraz złudzenie bywa pobudką do czynów. Najwięksi poeci czynów padali ofiarami złudzenia. Bowarystą był Napoleon, gdy oddawał się na pokładzie Bellerophona pod wspaniałomyślną opiekę narodu angielskiego. Bowarystą jest może Nowaczyński, gdy pisze swe dramaty.

* * *

Od poety w Polsce wymaga się, by był głównym dowódcą armji, admirałem floty, prawodawcą, filozofem... Podział pracy, który w innych krajach już się odbył, u nas widocznie jeszcze nie nastąpił. Stąd we wszystkich klęskach winną jest przedewszystkim poezja. Osłabia... deprawuje... rozhartowywa... Jeżeli skutkiem złego powietrza, zatkania kanałów odpływowych, związania rąk, wszyscy czują się niezdrowo, to nieszczęście przywątlenia niosą zarówno „poczciwcy", jak poeci.

W takich warunkach organizm społeczny wytwarza pewną ilość trucizn, którymi oddychają bez różnicy wszystkie piersi. Przypuśćmy, że trujący wpływ poezji na życie staje się rzeczą dowiedzioną i że poetom knebluje się usta. Cóż się zyskuje? Trucizny sączą się w organizm społeczny, tylko nie głośno jak kaskady, lecz chyłkiem, zdradziecko, po cichu. Artysta ma zawsze tę przynajmniej szlachetność, że mówi jasno, że ostrzega swą mównością. Jest on ręką, która pisze na ścianie: Mane... Tekel... Upharsin... Gdyby tej ręki nie było, ucztowanie nie byłoby przeto mniej groźne w swych skutkach przyszłych. Kto okiem bezstronnym spojrzy po obszarach życia polskiego, przyznać musi, że znieprawienie, wątłość szerzy się wszędzie. Ale kto temu winien? Czy artyści temu winni, że kraj grzęźnie w barbaryzmie? Że nie mamy szkół, uniwersytetów, a obie nasze wszechnice zakordonowe są opanowane przez zaciekłą reakcję katolicką? Czy na poetów spada odpowiedzialność za brak muzeów, bibljotek, zbiorów, pomocy naukowej? Czy to oni odpowiadać za to muszą, że idee zachodu z powodu cenzur, kordonów, pasportów, cyrkularzy, paragrafów nie mają łatwego dostępu? Czy poetów wina, że rozpolitykowana prasa nie umie wytworzyć surowej opinji, potępiającej, naprzykład, łajdactwa trwonicielskie bogaczy, którzy bezkarnie odsunęli się od wspólnictwa w pracy społecznej? Czy artyści temu winni, że żadne przedsiębiorstwo naukowe w rodzaju encyklopedji, słownika nie może być doprowadzone do końca, choć co noc szampan się leje i miasto roi od lśniących chwostami kokot? Czy to artystów sprawa, że „dzięki" nie romantyzmowi, jeno barbarzyństwu, spełniający „z zaparciem się siebie" swój obowiązek filister pomiata podwładnym, a korzy się, przykuca, merda ogonkiem wobec władzy? Czy artyści winni, że dziennikarze, pisząc o sprawach narodowych, używają języka chwiejnego, płaczliwego, języka żebraka, usiłującego wzbudzić litość? Jeżeli więc tak jest, jeżeli dla *tysiąca* powodów kraj czuje się wątło, niezdrowo, to przypisywać te wszystkie niedomagania *romantyzmowi* jest koncepcją czysto literacką.

* * *

Jest to koncepcja czysto literacka, niemająca podstaw. Romantyzm w najgorszym razie jest objawem zwątlenia narodowego, lecz nie zwątlenia przyczyną. Jeżeli romantyzm jest wybujałością wyobraźni, ucieczką przed rzeczywistością, fruwaniem bezlotków — istot, przeznaczonych do chodzenia, to jest on również jedyną dziedziną, gdzie typ człowieka, utraciwszy praktyczną oschłość, staje się zwiastunem istoty szlachetniejszej, niż człowiek dzisiejszy. To, co nie jest transpozycją dnia dzisiejszego, co się nie da dyskontować w krótkim terminie, będzie zawsze

w pogardzie u ludzi trzeźwych i praktycznych. Lecz niewątpliwie ludzkość w swym dalszym rozwoju nieraz będzie powracać do wielkich romantyków i od nich brać pokrzepienie na dalszą drogę. Trudno jest i zawodnie oskarżać romantyzm o pasożytnictwo, lecz jest on, jako kierunek twórczy, dostępny jedynie dla bardzo tęgich głów. *Żaden kierunek nie wyjaławia się tak szybko i doszczętnie jak romantyzm.* Człowiek średniej miary jako romantyk jest obfitą kaskadą... bredni. Stąd w krajach, gdzie skutkiem ogólnego zastoju i braku dopływu świeżych idei — romantyzm, oderwanie podeszw od pyłu ziemi, staje się rodzajem pijaństwa na pocieszenie, można obserwować takie zjawisko: Ktoś mówi zwięźle, rozumnie. . Nagle jakby się potknął mózgiem: poczyna prawić trzy po trzy, lecz im dalej brnie w chwasty absurdne, tym więcej oddala się od wzorów prostych, staje się w stylu podniosły, biblijny, proroczy. Myśli gubią się w mgłach. Niema wątpliwości: jest to tak zwane w i e s z c z e n i e. Wieszczenie jest niewątpliwie wypływem nadużytego romantyzmu. Lecz tu romantyzm, jak we wszelkiej innej dziedzinie, winien tyleż, co, naprzykład, każda zawiła filozofja — źle zrozumiana i przeto jedynie prowadząca do fałszywych wniosków.

* * *

Filipika Nowaczyńskiego przeciw romantyzmowi pomimo rozpędu kuli armatniej, przedzierającej z jednakową żarliwością ciało ludzkie, jedwab, płótno arcymistrza lub rogożę, ostatecznie cwałuje na kruchych nóżętach. Oto przykład klasyczny: To, że ks. M. Czartoryska, ulubiona uczennica Chopina, pierwsza sprzedała apanażom swe klucze, przytacza się wśród innych wiadomości w „Parergach" do *Cyganerji*, jako jeden jeszcze zarzut, mający zaciężyć na *muzyce* Chopina!

* * *

Protest i bunt przeciw gnębiącej kraj chuchrowatości ducha nie od Nowaczyńskiego się poczyna. Polscy argonauci wyruszyli już na wyprawę. Celem wyprawy: przetworzenie chrząstek w kości. Po mężkim Wyspiańskim kwilenie płaks rymujących, nanizywaczy łez na sznurki, stało się nieznośnie śmieszne. Berent również gniewa się na społeczeństwo, że sam ulega ogólnej chorobie. Z zapamiętałością gorączkowego wizjonera wyłożył on w *Oziminie* obraz rozkładu, ukazał organizm narodowy w puchlinie. Nowaczyński proponuje na puchlinę narodową lekarstwo w postaci margrabiego. Lecz Berent jest mocniej zagrożony, jako pacjent. Berentowi wystarcza brzęk ostróg, by uczuć w kości pacierzowej dresz zbożnego podziwu (oto *siła* kroczy!) Nowaczyński, aby się zbożnie zdumieć, potrzebuje margrabiego! No, to już trochę więcej! To brzmi już nie tak szaleńczo! Margrabia jest górą, która rzuca cień imponujący! Lecz pisarz-twórca, naprawdę zdrowy, umiejący innych zdrowiem zarażać, nie będzie rzutował swego podziwu na zewnątrz. Znajdzie on do podziwiania swego człowieczeństwa dość niepożytego materjału — w sobie.

* * *

Cóż się dzieje w naszej Polsce — za przyczyną Nowaczyńskiego? Dużo furji, wybuchów, urągania, co, społem wzięte, sprawiło ogromną ulgę wszystkim: poczuli bowiem, że połknąć taki fajerwerk to ożywia, wstrząsa i pokrzepia o wiele więcej, niż codzienna mdła mikstura, zwana *artykułem rozważnym*. A poza tym cała ta sarabanda — to wściekłe tupanie nogami — jest ubijaniem ziemi, by mocno stanął posąg nowego bóstwa, czemu towarzyszy poszturgiwanie łokciem ciżby, żeby się rozstąpiła, i urąganie na nikczemność duszy *artystycznej*, a więc — samounicestwianie się, samomęczeństwo, samopokora Nowaczyńskiego jako artysty, słowem: pretendowanie do świętości.

* * *

Więc nowy kult i nowy święty? W epoce, kiedy układna grzeczność Koła polskiego tak dobrze reprezentuje narodowe niedołęztwo, kiedy tchórzliwą rezerwę na każdym polu usiłuje się tłómaczyć jako rozum stanu, spiżowa mocarność margrabiego Wielopolskiego, który reprezentował wielkość Polski nieugiętej, którego niektóre słowa płynęły jakby z głębin dumy całego narodu, wyłania się z mroku jako wizja, nęcąca wyobraźnię Nowaczyńskiego. Być może, że przy należytej pracy w tym kierunku wytworzy się legenda o wielkim Margrabim w jakim drobnym, niedecydującym ułamku społeczeństwa polskiego, przyczym — jak przy każdej dewocji — trzeba będzie przymykać oczy na wiele szczegółów, to i owo inaczej oświetlić, a ogółem — omijać przykre progi, na których mogłaby sobie rozbić nosek tkliwa niewiastka: Madame Sympatja.

* * *

Trzeba będzie niejedno pojęcie zmienić, dokonać niejednej przemiany wartości, wyrzec się niejednej oceny sentymentalnej... Chodzi bowiem o kult energji żywotnej, elementarnej, o postawienie na wzór siły upartej, zamkniętej w sobie, nie liczącej się z niczym, uginającej, jak Bismark pogiął Niemców. Jednak ten siewca germański nietylko dobro dał swej ojczyźnie. Jest to człowiek ponurej siły, lecz jakże niekompletny! Dzięki niemu mięśnie germańskie stwardniały, lecz również ileż butwieje komórek w sercu i mózgu! Ile rozkrzewiło się chamstwa! Lepsi ludzie Germanji duszą się w tych ciupach, obitych skórą juchtową, w które wtłoczył Bismark niemieckiego filistra. Bismark — to tryumf opancerzonego filisterstwa. To on dał pewność filistrom, że naokół ich szlafmyc jaśnieje glorja. Wybił im z głowy wszelką wątpliwość, kanonizował chamską bezczelność.

Niewątpliwie i u nas procesowi stawania się, krzepnięcia będzie towarzyszył kult zdrowego chamstwa.

* * *

Sztuka, twórczość zawsze musi ponosić uszczerbek, gdy twórcę porwie i poniesie gorączka zacietrzewienia, choćby nawet zacietrzewienia o dobro samego narodu. Podstawą twórczości jest prostota aktu twórczego. Nie trzeba myśleć przytym: ja im pokażę! ja ich nauczę! ja ich w kozi róg zapędzę! Krew w gniewie uderza do mózgu, przepełnia go, djalektyka lśni jak wstęga, ale mózg żyje kosztem ogólnej energji witalnej. Trzeba tworzyć *niewinnie*, jak Bóg, co ponastwarzał tyle ichtjosaurów, perydaktylusów, człowieka, robactwo. Trzeba tworzyć rozrzutnie bez myśli o natychmiastowym zastosowaniu, jak również o tym, czy się kto otruje naszym utworem, czy nabierze od niego kolorów. Chwałą artysty-twórcy jest to, że wierzy w siebie. Jest to człowiek silny, który wynosi ze swej duszy rzeczy jeszcze niesprawdzone przez innych i autokratycznie narzuca je innym, jako rzecz do pełni życia nieodzowną. Lecz jak może tworzyć Nowaczyński ze swym najświeższym przekonaniem, że artysta to rodzaj bawiświatka, istota dość nikczemna, zasługująca na kopnięcie? Z tego wypływa, że Nowaczyński, biorąc się do pracy artystycznej, chce w swym typie być bliżej człowieka czynu, rozważnego dyplomaty, prawodawcy, niż artysty. Jego artyzm jest ograniczony, podawany oględnie, krępowany. Gdy ręka sięgnie do gałęzi obciążonej jabłkami i potrząsie nią, owoc się posypie. Oto czyn! Nowaczyński chce właśnie tego sypania się owocu.

* * *

Jaka jest metoda twórcza „Cyganerji", tej sztuki ostatecznie o całe nieba milszej od tylu preparatów francuskich, w rodzaju np. Bernsteina i innych wydrwigroszów, przesadzanych na scenę polską ku utrapieniu ducha polskiego? Zamiast postawy swobodnej — poza wymuszona sędziego, który zgóry potępia. W istocie swej sztuka nawet gdy dotyka i wcią-

ga w swój zakres zbrodniarzy — nie jest i nie może być niczym innym, jak rozgrzeszeniem. Artysta wchodzi w duszę zbrodniarza, zamieszkuje wśród *krajobrazu* tej duszy — widzi ciemność, nieszczęście, samotność tam, gdzie człowiek obserwowany z zewnątrz, przedstawia się jako zakamieniałość i wina. Nowaczyński wprowadza na scenę grupę ludzi, którzy są zgóry skazani na pokonanie. Są to murzyni, przeznaczeni na to, aby ich pożarł aligator — tendencja. Są podrzędnymi świadkami nie we własnej sprawie, lecz w sprawie o wiele ważniejszej: walki z romantyzmem. Stworzeni są nie po to, aby żyć, lecz aby demonstrować. Nie można im dać zbyt wiele zdrowia, siły umysłu, sumienia: są przecie skazani na to, aby ich poobalać uderzeniem pięści, więc nie potrzebują mieć w sobie zbyt wiele Boga lub Szatana. A jednak pomimo to, pomimo tylu ofiar — sztuka nie osiąga celu: nie zagraża ona ani trochę romantyzmowi i potrzebuje gwałtownie uzupełnień w postaci *Parergow* i artykułów polemicznych. Na sztuce Nowaczyńskiego można stwierdzić również fakt następujący: skoro tylko pojęcie o sztuce cofa się, zmierza ku tym czasom i poglądom, kiedy to sztuka była przedmiotem natychmiastowego użytku, organem w rodzaju poczty, roznoszącej potrzebne wiadomości, natychmiast z mroków przeszłości wypełzają zapomniane już rodzaje artystycznego przedstawicielstwa.

Taki Ryszard, perorujący o szkodliwości muzyki Chopina, jest przecie wskrzeszonym na nowo *rezonerem* dawnych zamierzchłych już powieści i dramatów. Ocalały cudownym trafem wśród orgji próżniactwa i błazenady, pracujący nieustannie wśród śmiechów i zapachów rozbawionej szynkowni, otaczany on jest przez Nowaczyńskiego równie naiwną aureolą wybrańswa, jak jaki wice hrabia bez trwogi i skazy, który po przełamaniu tysiąca trudności i uniknięciu szeregu zasadzek, czyhającej nań zgrai czarnych charakterów, ostatecznie otrzymuje serce i rękę „bladej hrabiny".

Leon Choromański.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Cień Margrabiego.* Jakkolwiek „Cyganerja Warszawska" do najudatniejszych dzieł Nowaczyńskiego nie należy, tym nie mniej wielkie powstało dokoła niej poruszenie, z którego wyłoniła się bardzo ciekawa i znacząca polemika.

Autor *Meandrów* od pewnego czasu wyszydza i tępi „romantyczny fantom", który po dziś dzień nadaje ton literaturze i myśli polskiej, a natomiast wielbi bezwzględnie „poezję czynu" zaklętą, jego zdaniem, w cezaryczną postać Wielopolskiego. Z właściwym sobie rozmachem i brawurą stawia Nowaczyński tę postać przed oczy społeczeństwa i żąda sprawiedliwego o niej sądu w artykule *„Margrabia"* pomieszczonym w *Kurjerze Porannym*, skąd wybitniejsze przytaczamy zdania:

„dzieje się u nas niepowetowana, straszna, o pomstę wołająca krzywda i nadal jeszcze, jeszcze w tylu lat po wszystkim, w pół wieku po śmierci, krzywda Człowiekowi, którego cały żywot na arenie publicznej był już najwyrafinowańszą Gehenną, którego ukamienowano błotem kilkakrotnie jeszcze za życia, na którego Ossę i Pelion oskarżeń za wszystkie nieszczęścia Ojczyzny zwalili ci właśnie, którzy swym samurajskim samobójczym szałem, dziecięco-optymistyczną hypnozą głębszy nam grób wykopali od wszystkich targowickich łopat razem wziętych.

Gdyby naród — woła Nowaczyński — umiał Margrabiego należycie ocenić, toby się okazało, że była to postać dostojna, olimpijska, z najczystszego spiżu ulana, o milimetr w karku pańskim nie zgięta, biologicznie raso-wo-polska —

z szeroką na miarę Michała Anioła bohaterską piersią rzymskiego konsula z tych, co się zwali: vir constantissimus ille, z tych, co to semper idem chcieli i semper idem nienawidzili! postać, która jednym zmarszczeniem dumnego czoła dawała poznać petersburskim salonom swoje najwyższe niezadowolenie, indywidualność skroś aryjska, c o m m a n d i n g m a n do imperjalizmu stworzony, autorytatywność budzący, do dyscypliny przyniewalający, w każdym narodzie t r z e ź w y m twórczy, epokowy, zwycięzki a śród kannibalów wzajem się zjadających, śród lakierowanych francuszczyzną samojedów izolowany, zapowietrzony, oplwany, bezradny, wreszcie w bólu rozczarowań jak skamieniały i z głuchym łoskotem olbrzymiego ciała na ziemię macoszą się walący.

Nie „widmo to posępne i przykre", ale mimo swą tragiczność radosna, w godzinach szarej rozpaczy otuchę wlewająca wizja, granitowego cokołu rzeczywistości stopami dotykająca, wizja Męża, jeszcze, jeszcze swym życiem nadzieję wzbudzającego, że przecież... może... w decydujących kryzysowych momentach dziejowych wyłoni się z tych gromad głów do pozłoty, natchnionych płaczków, konspiracyjujych gadułów, pijaków patosu, katolików 14-ej próby, maklerów parlamentarnych lub czcigodnych idealistów, wierzących w interwencję: nadziemskich sił, cesarzowej Eugenji i „Plon-Plona", że może wyjść kiedy z czeredy tych maszkar i masek mąż nietylko stalowej woli, ale i żelaznej ręki...

Tyle Nowaczyński. Zamieszczając ten artykuł, redakcja *Kurjera Porannego* ze swej strony zastrzegła, że

zapatrywaniom, wypowiedzianym przez niego z furją pasji zbyt gorączkową, a już przez to samo nie poddaną temu krytycyzmowi, który wymaga przedewszystkim spokoju i chłodu, postara się przeciwstawić własne uwagi, różniące się bardzo zasadniczo z poglądami na potężną postać Margrabiego i tło dziejowe, na którym się zarysowała.

Na wstępie zaś polemiki słuszne stawia pytanie:

Jeżeli trzeźwość, spokój, miara, obliczanie sił z siłami i skutkami, daleko sięgająca rozwaga są koniecznymi warunkami zdrowego rozwoju życia publicznego, to czyż te zalety nie są także niezbędnymi czynnikami skutecznej terapeutji społecznej? Chorych serc nie leczy się drapaniem ich do krwi ani dławiącym chwytaniem za gardło dla zapobieżenia konwulsjom. Czuł to sam Nowaczyński, skoro cant swój sam uznał „może falsetowym, może zbyt piskliwym", jak na powagę tematu. Czemuż zdając sobie z tego sprawę, nie zadał sobie także wysiłku, aby rozważając dzieło życia i czynów Margrabiego i zastanawiając się nad stosunkiem tego życia i tych czynów do teraźniejszości i przeszłości, dać nam coś innego niż świetny panegiryk na cześć nowego mitu i świetny pamflet przeciwko tym, które się już zażyły!

W dalszym ciągu zaznacza *Kur. Por.* że kardynalnym błędem Margrabiego było nieuznawanie opinji publicznej, czyli Powszechnego Mniemania. Wielopolski nigdy nic nie uczynił, ażeby wpłynąć na jego kierunek, aby go wciągnąć w zakres swoich samotnie knutych planów. Lekceważył je, nawet z pewną lubością mu urągał...

Dziś, gdy resztki najlżejszych odrębności naszych urządzeń zapadły w otchłanie, gdy z działań, planów i zabiegów Margrabiego, nie został nawet lichy cień trwałego skutku, już tylko jedno Powszechne Mniemanie, deptane i poniewierane przez Margrabiego, przechowuje z niespożytą siłą skarb polskości. W skarbnicy tej jak w Muzeum Rapperswylskim jest obok świętych i kosztownych pamiątek dużo śmiecia nagromadzonego przez sprytne kuglarstwo i poczciwą naiwność. Nowaczyński, który z mocy swego talentu pisarskiego jest jednym ze stróżów tej skarbnicy, wprowadza do niej mistrzowsko sporządzony według swego pomysłu posąg człowieka, który był z niej wygnany.

Jest w tym zamiar, którego pobudki należy uznać, ale niepodobna zamknąć oczu także i na złe skutki tego nowego kultu historyczno-poetyckiej fikcji Przedewszystkim więc stwierdzić należy kompletny zanik całej tej podstawy, na której lat temu pięćdziesiąt mogła się opierać polityka Margrabiego.

Nie pierwszym człowiekiem w epoce nowej, ale ostatnim człowiekiem z epoki starej wydaje się nam dzisiaj dumny, wzgardliwy, wierzący tylko w swój genjusz i w swoją spadkobierczą misję odzyskania majątku przodków Margrabia. Jak o swój Pińczów i Szaniec stracony lekkomyślnością stryja, tak samo prawował się z uporem i o tę inną wielką ordynację, straconą przez pokolenia, które nie zostawiły potomstwa. Aktami jego w tym ostatnim procesie był traktat wiedeński i statut organiczny z 26 lutego 1832 roku. Dyplomatyczny pełnomocnik księcia Adama Czartoryskiego, który groził przeniesiem wojny do Turcji i do Persji lekceważącemu prawa Polski Palmerstonowi, nie zamarł w nim ani na chwilę. Szesnaście punktów jego memorjału wręczonego Gorczakowowi, to jakby ostatnie w dziejach naszych ultimatum Rzeczypospolitej.

Ostatnim też człowiekiem swego czasu był Wielopolski przez wybujały swój indywidualizm, przez paraliżujący atawizm możnowładztwa, wierzącego tylko w oderwaną od ziemi i ludu ideę ojczyzny.

W tych warunkach Margrabia przegrał wielką sprawę, bo przegrać niechybnie musiał przez naturalną fatalność dziejów.

I jeżeli dziś idą za nim złorzeczenia narodu, to nie dlatego, że ten zgubiony proces nie zakończył się jego zwycięztwem, bo gdyby tylko powodzenia czcić miano w porozbiorowych dziejach, złorzeczyćby trzeba było każdemu najpiękniejszemu poświęceniu, każdej najszlachetniejszej ofiarnej męce, którą naród błogosławi z wdzięcznością. Ale wspomnienie o nim jest posępnym widmem dlatego jedynie że imię jego zamieniło się, zamienić się musiało w symbol rozłąki z narodowym tętnem życia i że w dziejach czasów, w których dusza narodu przechodziła jedno z najboleśniejszych przesileń, wynurzała się na zwróconym przeciwko niej brzegu jak opoka, o którą fala odbijała się tylko z tym gwałtowniejszym bryzgiem i spadała w skrwawionej pianie, zatapiającej wszystko w bezmiarze chaosu i nieszczęścia

* Ze swej strony *Gazeta Warszawska* śpieszy zapewnić, że walczy „ze zdegenerowanym już dziś, zmarniałym romantyzmem politycznym, który ciągle jeszcze bałamuci słabsze umysły"—do czego, *notabene*, kierunek zwany „wszechpolskim" mocno się był przyczynił.

Gdy idzie o Wielopolskiego, jesteśmy głęboko przekonani, że w miarę postępu czasu i politycznego dojrzewania naszego społeczeństwa, postać ta będzie coraz lepiej rozumiana i coraz więcej będzie zyskiwała w ocenie.

Wielopolski, obok swych rysów indywidualnych, składających się na postać niezmiernie silną, pociągającą oko artysty, oko każdego, kto nie smakuje w miernocie, wreszcie każdego, kto ma zmysł historyczny, kto rozumie, jakie rysy osobiste składają się na wodza i męża stanu — jest wyrazicielem teorji politycznej, poglądu, reformującego myśl polityczną narodu. Wśród ludzi czynnych, nie rezygnujących, nie patrzących na bieg wypadków z opuszczonymi rękoma, on pierwszy spojrzał prawdzie w oczy i śmiało umiał powiedzieć, że Królestwo, dociągane rękami młodszych żywiołów do roli Piemontu polskiego, do tej roli sił nie posiada, że programem jego musi być dźwiganie polskości u siebie, i w danym momencie całe swoje istnienie włożył w urzeczywistnienie na swój sposób tego programu

* *Słowo* z radością wita próbę rehabilitacji owego męża stanu, który nie przestał pono dotychczas być patronem warszawskich realistów, jakkolwiek stosunki od tego czasu zmieniły się radykalnie.

* *Dzień* wiąże ze wszczętą w tej mierze polemiką wielkie nadzieje; spodziewa się mianowicie, że z rozbujałych fluktów wyłoni się tym razem świeży kierunek myśli polskiej — *neopozytywizm*

Jakimkolwiek jednak tym razem łożyskiem popłyną myśli neo-pozytywistów warszawskich, witamy nowy prąd radośnie.

* Zabrał w tej kwestji głos i *Dziennik Powszechny*, a głos to bardzo i bardzo charakterystyczny. Klerykalizm rzymski przeszedł obojętnie koło tragicznej rozterki dziejowej, która kleszczami bólu szarpie każde polskie serce. Ale o tym *Dziennik Powszechny* nic nie ma do powiedzenia; rzecz to dla niego obojętna. Natomiast wprawił go w szaloną furję gniewu Nowaczyński poboczną wzmianką, że „świętymi polskimi nadal są Szczepanowski, Kordecki i Jandołowicz t. j. biskup-zdrajca, przeor-zdrajca, i mnich zdrajca" i że w bieżącym roku obchodzić będą Polacy „jubileusz złotoustego intryganta, z którego idei politycznych rozwinęły się normalnie i organicznie wszystkie przyczyny późniejszych całkiem konsekwentnych trzech rozbiorów polskich (jezuity Pawęskiego)"...

Tak pluje p. Nowaczyński. Co, oburzacie się? Co, ślina obrzydzenia wzbiera wam w ustach! Dajcie pokój! Przecież to pisze pan Adolf Neuwert, on-że Nowaczyński. To nie warte wzruszenia ramionami! To już taka u niego „brzydka" choroba, że plwać musi, no i reklamka! he, he, he, reklamka!

„Pan Adolf" po kilku innych osobnikach w historji polskiej odkrył z kolei margrabiego; odkrył go później od innych mężów, bo litera *W* jest przy końcu alfabetu, więc w ostatnim tomie encyklopedji. On się teraz dokumentuje żeby palnąć o Wielopolskim nowy sążnisty dramat, a jako, *homo peritus* w robieniu wrzasku, zawczasu przygotowuje haczek dla przyszłej kinematograficzno-kostjumowo żargonowej sztuki, by przyciągać publiczność.

Czytelnicy nasi mogą więc zestawić i porównać ton i wartość głosów prasy świeckiej z tonem i rodzajem opinji sfer kapłańskich, roszczących sobie monopol krzewienia etyki i światła wśród ludzi... Ładnie wygląda społeczeństwo oddane na łaskę takich mentorów! Nietsche zauważył kiedyś, że „niechlujność jest cechą wybitną księżego myślenia", Wyżej cytowany wyimek, tak zgodny z metodami księżej polemiki, w zupełności ten pogląd potwierdza.

* *Dokoła „Listu"*. W kołach zachowawczych i klerykalnych wre jeszcze burza, wywołana „listem otwartym" 39 włościan kaliskich do biskupa. Wierna swoim dotychczasowym metodom *Gazeta Warszawska* pośpieszyła posądzić redaktora *Zarania* o dwulicowość, a włościan kaliskich o to, że list został im podyktowany przez p. Malinowskiego lub kogoś z jego otoczenia. *Myśl Niepodległa* , odparłszy i potępiwszy te napastliwe intrygi, taki *Gazecie Warszawskiej* wystawia rysopis:

Gdyby „Gazeta Warszawska" owiana była istotnie tradycjami polskimi, gdyby w niej biło wielkie serce naszych niepospolitych przodków, którzy kładli podwaliny pod naszą kulturę i bez których dziś bylibyśmy hordą plemienną, tak, gdyby te wielkie tradycje polskiej kultury dzwoniły w redakcji „Gazety Warszawskiej", po naszej widzielibyśmy ją stronie. A dziś, skulona w kruchcie, najęta płaczka, organiścina cyniczna, znająca dobrze tajemnice zakrystji, wije się w sardonicznych uśmieszkach i zgrzytliwych półsłówkach, przygryzkach, docinkach, nie mogąc zdobyć się ani razu na głos donośny, szczery, majestatyczny, płynący z głębokiego przeświadczenia. Z wszystkich rodzajów m a ł o ś ć najmniej bywa chlubną, najbardziej zawistną. O wolności prawią ci ludzie, a gdzież między nimi człowiek wolny? Drogę chcą społeczeństwu ukazać w wieku dwudziestym, a czy oni wiedzą, co to jest wiek dwudziesty i jego umysłowość? O polskości prawią ci klerykaliści, a czy jest między nimi choć jeden, którýby reprezentował istotnie polskość?

* *„Głos Prawdy.* Ukazał się nr. 3 pisma pod tym tytułem wychodzącego w Siedlcach w odstępach 10-dniowych. *Głos Prawdy* redagowany jest przez wybitne siły literackie w duchu wolnomyślnym. W rubryce „Odpowiedzi od Redakcji" znajduje się taki ustęp:

Nie zdziwiło nas bynajmniej, gdy „patryoci“ sądzą, że pismo powstało za pieniądze żydowskie. Gdy przyjdzie czas na poruszenie kwestji żydowskiej, fałsz wypłynie na wterzch. Ale niech Sz. Pan nie łudzi się, że pełne miłości sorca chrześcijańskie tym się stropią. Bynajmniej! Będą mówić wtedy o... pieniądzach masońskich, marjawickich, rządowych... byle o pieniądzach. Albowiem dusze podłe i robaczywe nigdy nie zrozumieją, że coś można robić - bez pieniędzy. Jeżeli jest handel świętościami i najświętszymi uczuciami duszy ludzkiej, to wobec tego cóż może istnieć bez handlu? Tak rozumują.

Tymczasem pismo się rozwija i istnieć będzie o własnych siłach.

* *Bałamutne wieści.* W zakamarkach żargonowej prasy litwackiej wylęgła się plotka, skwapliwie podchwycona przez niektóre pisma polskie, jakoby polscy „postępowcy umiarkowani“ wszczęli rokowania z endecją o przeprowadzenie do IV-ej Dumy dwóch wybitnych członków P. Z. P. Oczywiście, niema w tym słowa prawdy; natomiast przypuszczać można, że miano „postępowców umiarkowanych“ dotyczy grupy *Przełomu*, o której zabiegach wspominaliśmy niedawno w artykule „Biała toga pana Konica“.

KRONIKA.

TOW. IM. AD. MICKIEWICZA WE LWOWIE. Towarzystwo literackie imienia A. Mickiewicza we Lwowie ogłosiło sprawozdanie za ostatnie trzy lata. Do poprawy skarbowości przyczyniły się w znacznej mierze zasiłki, które przyniosły 8,650 koron. Główną uwagę wydział zwracał na wydawnictwo *Pamiętnika literackiego*, koło którego skupiono 81 autorów. W latach 1908—1911 wyszły trzy tomy *Pamiętnika*, w których mieści się 24 rozpraw, 53 zapisek, 17 materjałów, 73 sprawozdań nadto bibljografja czasopism literackich za lata 1905—1906 i bibljografja o Słowackim za rok 1909. Rocznik VIII poświęcił wydział w całości Juljuszowi Słowackiemu. Towarzystwo poczyniło nadto przygotowania do wydania zeszytów jubileuszowych w roku 1915, poświęconych Skardze i Krasińsktemu. Redaktorem *Pamiętnika* był dr. Ludwik Biernacki, w skład komitetu redakcyjnego wchodzili: dr. Wilhelm Bruchnalski, dr. W. Hahn, dr. Józef Kallenbach i dr. Konstanty Wojciechowski. Od roku 1910 wyznaczył wydział dla redaktora *Pamiętnika* 200 koron honorarjum za każdy zeszyt.

Dochód Towarzystwa za ostatnie trzechlecie wynosił 32, 490 koron; w porównaniu z dochodem w latach 1905—1908 podniósł się o sumę 13,733 koron. Członków zwyczajnych Towarzystwo liczy 343. Filje Towarzystwa w Tarnowie rozwiązano, a książnicę przekazano miejscowemu Kołu T. S. L. Na czele Towarzystwa stoi prof. Kallenbach.

ZAGADKOWE PLACÓWKI. *Życie Warszawskie* zastanawia się nad tym, co mogą znaczyć na naszym gruncie dokoła Warszawy i dalej wgłąb kraju liczne placówki, obsadzone spasłymi, próżnującymi niemcami. Ziemię biorą na wypłatę, gospodarują źle i posiedziawszy lat kilka, idą dalej. Pracować widocznie nie potrzebują. Co rok o pewnej porze zjawia się jakiś pan, osiada śród nich na krótki czas. Niemcy schodzą się do niego zdaleka i zblizka, gadają, zabierają pieniądze i wracają do swoich siedzib tymczasowych... hodować gołębie pocztowe. Zaiste, sprawa to godna bliższego rozpatrzenia...

KONKURS NA AFISZ DLA „MUSEIONU“. Redakcja *Museionu* ogłasza konkurs na projekt afiszu przeznaczonego do wnętrz. Kompozycja afiszu powinna uwydatniać charakter miesięcznika. Napis ma brzmieć: *Museion* miesięcznik poświęcony literaturze i sztuce. Kraków Karmelicka 13. Projek ma być zastosowany do wykonania sposobem litograficznym w trzech kolorach, nie licząc koloru tła. Rozmiar od 60 do 80 cm. 50 do 60 cm.

Nagroda I sza: 200 koron, II-ga: 100 koron. Projekty nagrodzone stają się własnością redakcji, ktora zastrzega sobie po zatym prawo nabycia każdego z nadesłanych projektów w cenie 75 koron. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1 grudnia b. r.

Sąd konkursowy stanowią: Józef Czajkowski, Prof. Stanisław Dębicki, Władysław Kościelski, Ludwik Puszet, Jerzy Warchałowski.

Projekty opatrzone godłem, które ma być powtórzone na dołączonej zapieczętowanej kopercie zawierającej wewnątrz nazwisko i adres autora, naseży przysyłać do redakcji *Museionu* (Karmelicka 13 w Krakowie).

OFIARY.

Na wpisy szkolne dla biednych uczniów szkół prywatnych polskich od następujących pracowników T-wa Nikopol. Marjupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, I. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 3, S. Kleinsznek rb. 3, S. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb. 2, J. Tomaszewski rb. 1, W. Lenk rb. 1, A. Koziowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, p. Mitrocki kop. 50, p. Swietliński kop. 50. W. Popiel kop. 50, L. Czaykowski rb. 1, S. Krotkiewski kop. 46. Ogółem rb. 54. kop. 46.

E. Vaqueret z Ekaterynodaru rb. 3, Z. Szaniawski z Ekaterynodaru rb. 3, St. Mol. z Ekaterynodaru rb. 1. Ogółem rb. 7.

Na pomnik Chopina nadesłane z Ekaterynodaru: P. Bukowski rb. 1, Dutkiewicz kop. 50, Wiszniewski kop. 50, Fiałkowski rb. 1, Konczałowski kop. 50, Robowski rb. 1, Kior-ogły rb. 2, Zakrzewski kop. 50, Venordin rb. 1, Vacqueret Wanda rb. 10, Z. i W. Szaniawscy rb. 5, Ter-Oganjone rb. 3, Zdanowicz rb. 1, M. Perzyńska rb. 1, Z. Perzyńska rb. 1 kop. 50, Konkiel rb. 1, Ujejski rb. 3, Ks. Rot. rb. 1, J. Reutt kop. 50, St. Mol. rb. 1. Ogółem rb. 36.

Książki nadesłane do Redakcji:

M. Jackiw: „U miłosiernej bogini z kamiennym sercem“. Nowele; przekład S. Twerdochliba. Wydanie II. Lwów, 1911. Księgarnia L. Chmielewskiego. Str. 128.

Maciej Wierzbiński: „Pod mysią wieżą“ powieść współczesna, Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1912. Str. 373.

Walenty Czesław Zieliński: „Ale będzie lepiej“. Dramat pojęć, Pieśń mowna, Symfonja duszy cierpiącej a czystej i wielkiej. 1911. Kalisz, nakładem autora. Str. 110.

Adolf Nowaczyński: „Cyganerja Warszawska“, sztuka w 4 aktach. Gebethner i Wolff. 1912. Str. 210.

Józef Weyssenhoff: „Soból i Panna“. Cykl myśliwski. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1912. Str. 368.

Stefan Żeromski: „Aryman mści się. Godzina“. Wydanie II. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1912. Str. 120.

Fr. B. Peabody: „Jezus Chrystus i kwestja społeczna“. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i Spółka, 1911.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

P. Herb. Przyrzekamy chętnie pomoc. Prosimy o zgłoszenie się do Redakcji osobiście.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy” wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZE: 1861 — 1911. — ECHA PRAWDY: Dziwny jubileusz. — Uczynny Kopciuszek. — Kraj rozbójników. — W poszukiwaniu drogowskazu, przez Józefa Lange. — BADANIA NAUKOWE: Mnichy i Papieże, przez St. Romanowskiego. (Ciąg dalszy) — Filozofja momentu, przez Stanisława Baczyńskiego. (Ciąg dalszy). KRYTYKA: Nowy dramat Żuławskiego, przez Józefa Pomirskiego. — Juljan Wieniawski: „Kartki z mego Pamiętnika“, przez E. C. — NA DOBIE: Gdy już rakiety poszły w górę..., przez Leona Choromańskiego. — Z PRASY: Z prasy polskiej. — KRONIKA. — Ofiary. — Książki nadesłane do Redakcji. — Odpowiedzi od Redakcji. — OGŁOSZENIA.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.